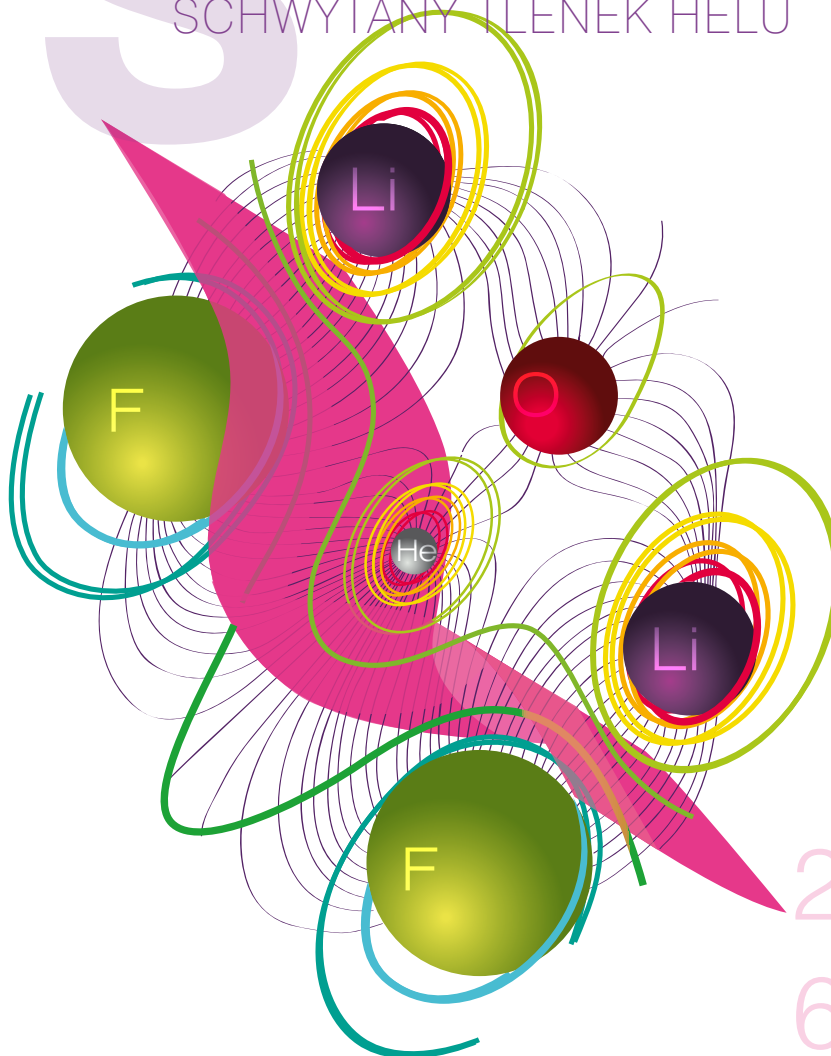


S

SCHWYTANY TLENEK HELU



32

2

■ MIĘDZY NAMI,
PROFESORAMI

6

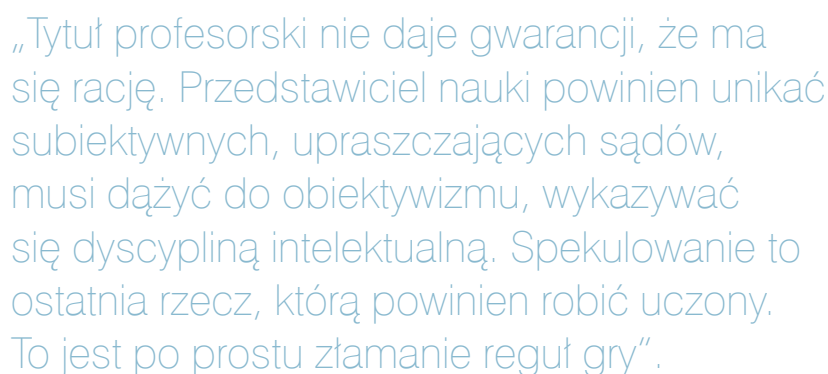
■ WYWIAD Z BYŁĄ
REKTOR UW

22

■ O TYM, CO NISZCZY
EDUKACJĘ

38

■ PAKIET
HISTORYCZNY



6. PROFESOR NIE MUSI ZNAĆ SIĘ NA WSZYSTKIM

Obliczony potencjał elektryczny
"motylkowej cząsteczki" $(\text{HeO})(\text{LiF})_n$.

TEMAT NUMERU

2. MIĘDZY NAMI, PROFESORAMI

Marcin Kula

6. PROFESOR NIE MUSI ZNAĆ SIĘ NA WSZYSTKIM

rozmowa z prof. Katarzyną Chałasińską-Macukow

WYDARZENIA

9. KALEJDOSKOP

11. NOMINACJE PROFESORSKIE

12. ZAROBIMY NA BADANIACH

Katarzyna Majewska

NAUCZANIE

14. POCZYTAJ MI W IRCE

Olga Basik

16. AKCJA DELIBERACJA

Katarzyna Majewska

18. FEDERALIZM DO PRZERÓBK

Anna Rosner

OPINIE

21. MEDYTACJE PROF. LAJKONIKA

22. O TYM, CO NISZCZY EDUKACJĘ

Łukasz Niesiołowski-Spano

24. WYCINKI

25. WYIMKI

Olga Basik

BADANIA

26. BIBLIOTEKA W TERABAJTACH

Izabela Wołczaska

28. ROLA KOBIETY W ZMIENIAJĄCEJ SIĘ JAPONII

Katarzyna Starecka, Anna Zalewska

30. MIĘDZY POP A KULTURĄ

Izabela Wołczaska

32. W SOCZEWCE

Katarzyna Majewska, Izabela Wołczaska

NA TRAKCIE

36. KOPNIĘTY DOM I JEGO AUTOR

Marek Czapelski

DZIEJE UW

38. POCZET REKTORÓW

Robert Gawkowski

39. ZDARZYŁO SIĘ W TYM MIESIĄCU

Robert Gawkowski

39. DOBRZE POLICZONE

Olga Basik

40. PIĘKNO ARCHITEKTURY, UNIWERSYTECKIE WYKŁADY I ŁZA W OKU

Jerzy Miziolek, Hubert Kowalski

42. WYSTAWA NA WYSTAWIE

Agnieszka Bagińska

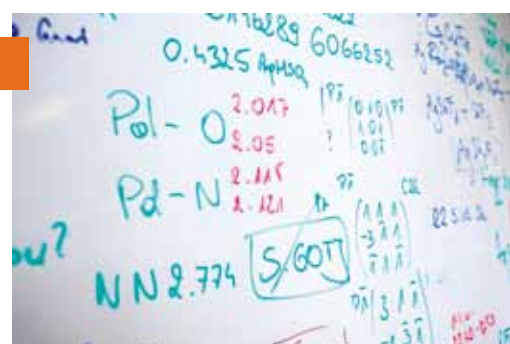
44. BOHATEROWIE MIMO WOLI

Robert Gawkowski

46. KONOPACKA TO BYŁA DŻAGA

rozmowa z historykiem sportu

48. ODESZLI



M MIĘDZY NAMI, PROFESORAMI

„Następnego dnia, już w porcie Massawa, osobiwy pan podniósł się na tę okazję do stopnia wielkiego admirała floty imperialnej, pasował siedmiu kadetów oficerami marynarki wojennej, powiększając tym sposobem naszą siłę morską”

Ryszard Kapuściński o Hajle Sellasje / Cesarz

Tytuł profesora uczelni był tradycyjnie ceniony w Europie. Symbolizował mądrość i pozycję społeczną. Uzyskanie go dawało satysfakcję badaczom. Zaiste, czyż może być coś bardziej satysfakcjonującego niż uzyskanie prawa nauczania swojego zawodu na najwyższym poziomie edukacyjnym? Zresztą już samo choćby dojście do szczytu hierarchii daje satysfakcję. Niby są jeszcze w nauce różne tytuły honorowe lub/i członkostwa akademii – ale te można pominąć. Pierwsze od pewnego czasu honorują już niekoniecznie naukowców i wynikają z przesłanek niekoniecznie zawodowych. Drugie zaś też są często wynikiem różnych rozgrywek. Zresztą nawet nie wiem, kto z historyków jest dziś członkiem PAN lub PAU (poza dwoma kolegami, których nazwiska są akurat szeroko znane publicznie).

Wracając do rozumowania: gdy niedawno kolega, który otrzymał nominację profesorską, powiedział, że nie wstydzi się przyznać, iż zrealizował marzenie życia – rozumiałem go (no i wzruszyłem się razem z nim). To nie był dlań tylko awans na kolejny szczebel drabinki w dowolnej instytucji.

Trudno jednak nie zauważyć, że waga tytułu profesorskiego się obniża. Prawda, jego prestiż wciąż jest duży, ale ma szanse zmieniać się na niekorzyść. Zrobiło się nas bardzo wielu, a to musi oznaczać obniżenie pozycji. Słuchając radia i patrząc na telewizję odnosi się wrażenie, że Polska jest w znacznym stopniu zaludniona profesorami. Pewno co drugi polityk jest profesorem. W ogóle, gdy

Przestańmy
udawać, że
profesor to coś
ważnego
i poważnego

ktoś jest znaczący, wypada tytułować go profesorem. Z naszym tytułem stajemy się odpowiednikiem „galicyjskich hrabiów”. Z czego się bierze cała ta sytuacja? Oczywiście nie z nieuczciwości. Tytułów profesorskich jeszcze nie kupuje się, jak w niektórych systemach politycznych dyplomów szlacheckich. Źródłem stanu rzeczy jest przede wszystkim wieloznaczność słowa „profesor”. Ludzie nie tylko nie odróżniają pozycji profesora uczelnianego i „belwederskiego”, ale nie

rozdzielają profesorów z uczelni mocniejszych i słabszych. Drugą przyczyną jest zwariowany zwyczaj stosowania raz uzyskanego tytułu do końca życia. Ministrów też robi się coraz więcej – bo wystarczy być ministrem przez tydzień, by nosić taki tytuł do śmierci. Nawet ewentualne odejście w niesławie tego nie likwiduje.

W wypadku polityków wystarczy trochę powyklądać w jakiejś z licznych dziś szkół wyższych, by już stać się profesorem. Tacy ludzie są zaś często zapraszani na wykłady, bo ich nazwiska reklamują szkołę, czasem mają zresztą ważne rzeczy do powiedzenia. Sami tego chcą, bowiem czują się uhonorowani. Przy pewnym doświadczeniu społecznym mówienie na każdy temat nie jest dla nich wielkim problemem. Czasem zresztą chcą dorobić i zapłacić sobie czas w chwilach przymusowych politycznych urlopów. Z kolei zawodowy profesor, zatrudniony poza uczelnią, może już nawet nie pamiętać podstawowych zagadnień z zakresu swojej dziedziny, ale profesorem wciąż jest.

Zawsze byłem przeciw traktowaniu tytułu profesorskiego na podobieństwo rangi w wojsku (uzyskiwanej raz na całe życie bądź do kolejnego awansu). Wydawało mi się, że nie powinno się uzyskiwać takiej rangi, lecz być profesorem konkretnej uczelni w okresie, w którym się jest z nią realnie związanym. Prestiż profesora powinien płynąć z osobistego autorytetu oraz z prestiżu uczelni. Tymczasem u nas ewolucja poszła w przeciwnym kierunku. Prestiż ludzi noszących ten tytuł wynika z tego, że część z nich jest naprawdę profesorami. Na tę część rozciąga się wszakże marka profesorska wyrabiana grupie przez wszystkich. Skoro politycy dziś w Polsce mają generalnie (choć nie zawsze sprawiedliwie) złą opinię, to rzutuje ona na profesorów – skoro są liczni wśród polityków.

Druga grupa przyczyn deprecjacji tytułu profesorskiego płynie oczywiście z naszych zachowań. Nie jest tak, żebyśmy sami byli bez winy. Przecież niejedną z nas niemal frymarczy tym tytułem. Często pracujemy nie w jednym miejscu (sam to robiłem przez wiele lat). Łatwo odchodzić z uczelni do innych zajęć czy do funkcji



publicznych. Część z nas biegnie do mediów, co nieraz buduje nasz prestiż (i to niestety nieraz bardziej niż dorobek zawodowy), ale może też go narazić na szwank. Oczywiście można to wszystko usprawiedliwić. Zarabiamy mało, co samo w sobie jest jedną z przyczyn deprecjacji tytułu. Tak, wiem, nasze dochody podstawowe wciąż są większe niż wielu ludzi w Polsce – ale to marny argument. Jeśli nie chcemy ślubować ubóstwa, to pozostaje dorabiać. Nadto w niektórych zawodach inne miejsca pracy, traktowane choćby jako dodatkowe, dają większe możliwości zawodowe niż uczelnia. W niektórych zawodach nie da się w końcu oddzielić uprawiania nauki od działalności praktycznej; byłoby to wręcz ze szkodą dla jednego i drugiego. Pozostaje faktem, że takie działanie poza nauką lub na jej pograniczu zmniejsza nasz prestiż godnych szacunku i zaufania naukowców, podobnie jak machanie tytułem w manewrach politycznych.

Nasz prestiż musi się zmniejszać w obecnym systemie organizacji nauki. Te wszystkie kontrole, oceny okresowe, ocenianie przez ludzi niżej stojących w hierarchii autorytetu zawodowego lub po prostu niżej w hierarchii może być konieczne, ale każe mi się czuć pracownikiem jednym z wielu. Sprawa jest trudna, bowiem świat nauki na całym świecie tak się rozbudował, że nie uda się go regulować jedynie w oparciu o koleżeńskie zaufanie. Nie obejdziesz się bez bardzo sformalizowanych kontroli. W tej sytu-

cji przestańmy wszakże udawać, że profesor to coś ważnego i poważnego.

Sam odczuwam przykrość, gdy muszę wydać sformalizowaną opinię o którymś z kolegów. Na przykład w ocenie wniosków grantowych trzeba postawić krzyżyk już nie tylko w odpowiedniej rubryce w charakterystyce wnioskodawcy, ale należy kliknięciem zaznaczyć, czy uważa się jego opiekuna naukowego za nowatora, za przeciętność, czy za marność (powołuję z pamięci, pewno w uproszczeniu). Na dodatek mam to zrobić za jego plecami, bo on przecież nie będzie wiedział, jaką opinię mu wystawiłem. Krępuje mnie to, a na dodatek rzadko mam o kimś opinię tak jednoznaczną, by sprawę załatwić kliknięciem. Nawet gdy myślę o kimś „idiota”, to przypominam sobie mojego Ojca, też profesora UW, który w początku moich lat studenckich mówił mi: „Zapamiętaj sobie, że jeżeli ja w domu mówię o kimś z kolegów >idiota<, to jest duża szansa, iż on o mnie mówi podobnie”.

Cechy współczesnej nauki i procedury dydaktyczne nie budują naszego prestiżu. W moim przekonaniu (oby mylnym!) nie oczekuje się od nas oryginalności i nowych myśli, a raczej głosowania pewnej liczby myśli najbardziej znanych na świecie uczonych. Nie oczekuje się oryginalnej dydaktyki – raczej realizowania jakichś ogólnie przyjętych procedur. Wiele posunięć reformy, którą przeżywamy, odczuwam raczej jako ubezwłasnowolnienie niż jako wyzwolenie profesury.

Prof. dr hab. Marcin Kula jest pracownikiem Instytutu Historycznego i stałym współpracownikiem naszej redakcji. Poprzednie teksty profesora, które ukazały się w „UW”, są dostępne na stronie www.pismo-uczelni.uw.edu.pl.

Wiele posunąć reformy,
którą przeżywamy,
odczuwam raczej jako
ubezwłasnowolnienie
niż jako wyzwolenie
profesury. Będziemy
pracować nie dla
satysfakcji i dla
oryginalności
pomysłów, lecz dla
punktów

Będziemy pracować nie dla satysfakcji i dla oryginalności pomysłów, lecz dla punktów. Obecny sposób rekrutacji pracowników/doktorantów oraz ogromne zamrożenie struktury uczelnianej czynią prawie niemożliwym stworzenie szkoły naukowej i nowego zakładu – co tradycyjnie uważało się za sukces profesora. Szkoły nie są zresztą chyba specjalnie potrzebne w ramach dzisiejszej filozofii nauki.

Machina dydaktyczna jest już w bardzo małym stopniu instrumentem pedagogicznym. Gdy kiedyś nabrałem przekonania, że student podstawił na poprawkę kogoś, kto pisał za niego, uczelnia (akurat nie Uniwersytet) nie zdecydowała się załatwić sprawy w ramach własnych możliwości pedagogicznych. Uznała za konieczne wysłanie obu prac pisemnych (z pierwszego i drugiego terminu) do ekspertyzy grafologicznej. W praktyce oznaczało to wysłanie ich do policyjnego grafologa, przy zapłaceniu sporych pieniędzy za badanie. I wprawdzie grafolog na pierwszy rzut oka ocenił, że pisały je inne osoby, ale oficjalna ekspertyza nie mogła przecież ograniczyć się do rzutu okiem. Uczelnia musiała mieć jednak mocną podstawę dla swoich decyzji. Nie mogła nie liczyć się z zarzutem o niesprawiedliwe działania, który student mógłby sformułować przed sądem. W takich mechanizmach toniemy jako profesura. Nie jesteśmy do nich przyzwyczajeni ani przystosowani.

Widzę jeszcze bardziej konkretne rozwiązania, które zmniejszają moje poczucie wartości posiadanego tytułu. Ostatnio przestałem mieć choćby potencjalny wpływ na biegnące w instytucie przewody doktorskie. Na habilitacyjne od dawna już go nie miałem. Oczywiście nie odczuwam tego jako posunięcia skierowanego przeciw mnie osobiście. Wynika ono z przyjętego na jakiejś pod-

stawie rozwiązania, że członkami odpowiednich zespołów mogą być tylko członkowie rady wydziału, a takim nie jestem. Dobrze, nie to nie. Mogę znaleźć nawet pewne zalety nowego rozwiązania (oszczędność czasu i w ogóle kłopot z głowy). Tylko jednocześnie zostałem pozbawiony wpływu na chyba najważniejszą sprawę naukową i dydaktyczną rozgrywającą się na moim wydziale. No więc do czego mi służy tytuł?

O istniejącym kiedyś zwyczaju powoływania do komisji przewodów habilitacyjnych promotorów prac doktorskich kandydatów do habilitacji chyba już zapomniano. Rozumiem, że wieloletni opiekun naukowy młodego naukowca może rzeczywiście nie powinien być recenzentem pracy z powodu tworzących się przez kilka lat więzi osobistych. W komisji mógłby jednak chyba zasiadać, nieprawdaż?

Jeszcze jeden przykład – wydziałowy konkurs na publikacje zawodowe. Według otrzymanej ostatnio informacji kandydaci do nagrody mogą zgłaszać się sami lub mogą ich zgłaszać kierownicy zakładów. Z tego wynika, że jako profesor nie mam prawa ich zgłaszać. O tym, że w ogóle dziwnie brzmi propozycja, by ktokolwiek sam zgłaszał się do nagrody, już nie mówię.

Nie mam wrażenia, żeby Uniwersytet nas chciał po przejściu na emeryturę (choć prawda, bon świąteczny emeryci dostają).

Poczucie wartości tytułu zmniejszają też złe opinie często pojawiające się obecnie w Polsce o szkolnictwie wyższym. Tak, są powody do krytyk. Sam je zresztą nieraz formułowałem, a nawet publikowałem. Przykro mi jednak, bowiem taka krytyka automatycznie rzutuje na profesurę jako taką *en bloc*. W końcu to my, co najmniej w istotnym stopniu, odpowiadamy za stan naszych uczelni. Na dodatek nieraz sami stajemy pod pręgierzem. Powstaje obraz, że miernoty rekrutują dalsze miernoty. Mocnym argumentem przeciw uczelniom są wyniki rankingów, a przeciw nam liczby cytowań zagranicz-



Nie mam
wrażenia, żeby
Uniwersytet nas
chciał po przejściu
na emeryturę –
choć prawda,
bon świąteczny
emeryci dostają

nych. No cóż, przekonanie o miernocie różnych stanów rzeczy nie było i nie jest mi obce. Nie tak dawno ciężko przeżyłem sytuację, gdy obserwowałem jak profesor niszczył doktoranta (to nie u nas!), a sam, powiedzeniem „wybitny” o pewnym młodym człowieku, dałem mu prawie „pocałunek śmierci” w jego środowisku (to też nie u nas!). Ale czy rankingi i liczba cytowań to wystarczający argument, że jako profesura jesteśmy miernotami? Nie przypuszczam, iżbym był licznie cytowany. To jest po prostu niewyobrażalne. Czy to świadczy o mojej miernocie? Może tak, ale równie dobrze może świadczyć o zbyt małych staraniach o publikacje zagraniczne, zbyt małej energii inwestowanej w kontakty, zaniechaniu uporczywości, zbyt łatwym speszzeniu się w jakichś sytuacjach, skupieniu na własnych pracach. Może czasem świadczyć o specyfice tematyki. To wszystko jest oczywiście też naganne (choć przy specyfice tematyki już bym się zawahał!). Nie musi jednak jeszcze świadczyć o miernocie. Nie śmiem powiedzieć, że czasem może świadczyć nawet o nowatorstwie. Ludzie z odkryciami typu odkrycia Kopernika chyba nie byłiby nawet dziś zbyt entuzjastycznie przyjęci. Nie użyję jednak tego argumentu bowiem – rzecz jasna przez wrodzoną skromność – nie przyrównuję się do Kopernika (sic!).

Mimo wszystko, jeżeli ktoś chciałby jednak o mnie powiedzieć „miernota” z powodu marnych wyników cytowań, to proszę bardzo. Każdy ma prawo mówić co chce, zwłaszcza w Polsce w ostatnich latach. Nie zgodzę się jednak – jako na regułę – na stwierdzenie, że miernoty muszą rekrutować miernoty. Tak nieraz jest, ale nie zawsze. Nieraz zdarza się, że średni naukowo profesor ma znacznie lepszych uczniów. W dawnych czasach funkcjonowało powiedzenie, że „każdy profesor uniwersytecki jest zobowiązany wychować grono uczniów lepszych od niego”. Andrzej Zoll cytuje je w swoich wspomnieniach jako powiedzonko swego dziadka, prawnika, rektora UJ, ale sam słyszałem je także w Warszawie. Nie da się ukryć, że miałem kolegów, których specjalnie nie ceniłem, ale których uczniowie dobrze o nich świadczą. Niezależnie od tego jak sam zostanę oceniony z perspektywy czasu, poziom moich uczniów przemówi za mną. Oni zresztą są już znacznie bardziej umiędzynarodowieni, z pewnością mają też lepsze wskazniki cytowań. Mogę się co najwyżej pytać, jak to się stało, że z nich wszystkich na Uniwersytecie udało mi się zatrudnić tylko jednego.

Prawda, że dziś wszędzie, nie tylko w Polsce, ma miejsce spadek prestiżu wielu zawodów, ich deprofesjonalizacja, przechodzenie ludzi od jednych do drugich zajęć i funkcji. W końcu deprecjacja tytułu profesorskiego, której pogłębienie obserwuję, jest może wciąż mniejsza niż na przykład zmniejszenie się prestiżu sędziego lub/i prokuratora. Mało mnie to jednak pociesza, a spadek pozycji profesury – jeśli moje obserwacje są trafne – nie wróży dobrze i tak nadzwyczaj niepewnej przyszłości nauki w Polsce.

wydajemy najlepszych

najlepsi autorzy / najlepsze tematy / najlepsza humanistyka

wydawca serii

Monografie FNP

Wydawnictwo Naukowe
Uniwersytetu Mikołaja Kopernika



www.fnp.org.pl
www.wydawnictwoumk.pl

PROFESOR NIE MUSI ZNAĆ SIĘ NA WSZYSTKIM

**z prof. Katarzyną Chałasińską-Macukow, była rektor Uniwersytetu
rozmawia Anna Korzekwa**

W jednym z ostatnich numerów „PAUzy Akademickiej”, wydawanej przez PAU, prof. Tomasz R. Taylor z Northeastern University zwrócił uwagę, że na amerykańskich uniwersytetach nie ma pomników profesorów, nawet tych, którzy dostali Nobla. Największy pomnik na jego uczelni upamiętnia Cy Younga, słynnego baseballistę.

Na tamtejszych uczelniach sport jest czymś niesłychanie istotnym, bywa ważniejszy niż osiągnięcia akademickie. Dobre studia można skończyć, nie posiadając szczególnych kwalifikacji akademickich. Ligą koszykówki uniwersyteckiej emocjonuje się mnóstwo osób.

Uczelnie nie są jakimś samotnym bytem. Ich pracownicy i studenci dzielą te same pasje, które dzieli reszta społeczeństwa. A osiągnięcia sportowe są znacznie bardziej zrozumiałe dla przeciętnego obywatela niż jakiegokolwiek odkrycia naukowe. Ale oczywiście na uniwersytetach amerykańskich spotkać można też i inne pomniki – na Harvardzie jest np. pomnik ojca-założyciela uczelni, Johna Harvarda.

**W Polsce profesorowie uniwersyteccy
cieszą się wciąż dużym poważaniem.
W rankingu najbardziej prestiżowych za-
wodów „profesor uniwersytecki” jest od
lat na pierwszym miejscu.**

Za prestiżowe uważane są te zawody, które wymagają wyższego i specjalistycznego wykształcenia; zawody, wykonywane przez osoby, które nie tak łatwo jest zastąpić. Zastanawiam się jednak jak wyglądałby ten ranking, gdyby pytani nie wybierali z „zamkniętej” listy. Czy tak samo wyglądałaby ta lista, gdyby sami mieli wymieniać te zawody, które najbardziej cenią? Może to pewien odruch, przejaw poprawności politycznej, ankietowani odpowiadają w ten sposób, bo uważają, że tak wypada?

Sama mam takie poczucie, że wszystko bardzo się zdemokratyzowało. Jeżeli wzrasta podaż jakiegoś dobra, to ono traci na wartości. Tak jak umasowiło się kształcenie, tak i bardzo wzrosła liczba pracowników nauki. Specjalnie używam tego określenia. Uczonych jest niewielu, a pracowników naukowych ponad 100 tysięcy. Tak samo zresztą jest i z uniwersytetami. Prawdzi-

wych uniwersytetów jest kilkanaście, a szkół wyższych ponad 450.

**W programach informacyjnych – na co
zwraca uwagę w tekście, który publiku-
jemy obok, prof. Marcin Kula – co druga
osoba występująca, to profesor. To raczej
nie podnosi prestiżu tego zawodu.**

Co więcej, w roli komentatorów np. życia politycznego występują profesorowie i nie-profesorowie, ale w ich wypowiedziach często nie widać specjalnej różnicy; więc pewnie z tego powodu profesura na tym nie zyskuje. Z drugiej strony, można mieć nadzieję, że dzięki obecności profesorów w mediach społeczeństwo dostrzega przydatność kwalifikacji, którymi dysponują naukowcy? A to byłoby bardzo ważne.

Bardzo żałuję, że tak niewiele osób potrafi wyjaśnić w sposób przekonujący i zrozumiały zagadnienia np. zakresu biotechnologii i energetyki. Na ekonomii, polityce i zdrowiu znają się wszyscy, a przynajmniej tak im się wydaje. Niestety także dla dziennikarzy często ważniejsze jest nie to, czy ktoś ma coś ważnego do powiedzenia, a to, czy jest po prostu łatwo i szybko dostępny.

**Niestety chyba samo środowisko trochę
psuje sobie reputację. Często naukowcy
wypowiadają się na tematy bardzo od-
ległe od swoich dyscyplin. Trochę mącą
ludziom w głowach.**

Oczywiście trzeba hamować swoje ambicje i znać granice swoich kompetencji. Nie będę wypowiadać się np. o projektowaniu ogrodów, bo się na tym nie znam, choć hobbistycznie lubię się zajmować zielenią. Takie wypowiedzi, nieoparte na wiedzy, badaniach, w przypadku pracowników naukowych są bardzo niebezpieczne, bo rzutują na wiarygodność całego środowiska.

Profesor nie musi się na wszystkim znać, a tytuł profesorski nie daje gwarancji, że ma się rację. Przedstawiciel nauki powinien unikać subiektywnych, upraszczających sądów, musi dążyć do obiektywizmu, przedstawiać wyważony ogląd rzeczywistości; musi się wykazywać dyscypliną intelektualną. Spekulowanie to ostatnia rzecz, którą powinien robić uczony. To

**Prof. Katarzyna
Chałasińska-
Macukow jest
fizykiem, specjalizuje
się w optyce
informacyjnej. Pracuje
na Wydziale Fizyki,
jest także członkiem
Międzynarodowego
Stowarzyszenia
Inżynierii Optycznej
(SPIE). Przez siedem
lat była rektorem
Uniwersytetu
Warszawskiego,
a przez cztery –
także szefową
Konferencji Rektorów
Akademickich
Szkół Polskich.
Od września tego
roku jest senatorem
Uniwersytetu
oraz honorową
przewodniczącą
KRASP. Kieruje też
komitetem dobrych
praktyk Konferencji.**



Tak jak masowe stało się kształcenie, tak bardzo wzrosła liczba pracowników nauki. Uczonych jest niewielu, a pracowników naukowych ponad 100 tysięcy

jest po prostu złamanie reguł gry. Jeśli profesor wypowiada się na tematy odległe od jego dyscypliny, to powinien się zastrzegać, że to tylko jego przypuszczenia, ale nie jest specjalistą w danej dziedzinie.

Takie wypowiedzi to problem braku pokory?

Na pewno. Tytuły, stopnie ani stanowiska nie upoważniają człowieka do tego, żeby się wypowiadał na wszystkie tematy. Mamy szczególną misję do spełnienia, pracujemy na rzecz społeczeństwa, kształtujemy postawy. Takie wypowiedzi profesorów czy ogólnie pracowników naukowych, coś znaczą – wpływają na osąd innych – dlatego trzeba zachować dużą dawkę pokory intelektualnej.

Pięć lat temu Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich i Fundacja Rektorów Polskich opracowały „Kodeks dobrych praktyk w szkołach wyższych”, w którym zostały sformułowane podstawowe zasady i dobre obyczaje, którymi powinni kierować się rektorzy i członkowie senatów uczelni. Teraz ma się zająć przygotowaniem suplementu do tego dokumentu albo nowym dokumentem – to jeszcze nie jest ostatecznie zdecydowane – w którym będą uregulowane właśnie te kwestie, o których teraz rozmawiamy – np. odpowiedzialności za słowo. Choć to, że w ogóle takie dokumenty są potrzebne, może nie do końca dobrze świadczy o naszym środowisku. Byłoby dobrze, żeby te

zasady były dla wszystkich po prostu oczywiste.

Wspomniała Pani wcześniej o mediach. Dobre informacje trafiają w próżnię. Gdy dr Justyna Olko z UW dostała grant Europejskiej Rady Nauki chyba żadna gazeta o tym nie napisała. Napisano, gdy stało się jasne, że jest jedynym naukowcem z Polski wyróżnionym w tym konkursie i to głównie po to, by „obnażyć mizериę” polskiej nauki. Dr Emanuel Kulczycki z UAM skomentował to słowami: każdy sukces jednostkowy potrafią przekuć w porażkę całego systemu.

Znakomicie powiedziane! Dwa miesiące wcześniej w konkursie „Potencjał Badawczy” z 7. Programu Ramowego UE granty otrzymało 8 instytucji z Polski. Kwota, jaką w sumie otrzymały na badania, stanowiła 25 procent ogólnej sumy przyznanej w tym konkursie. Tegoroczny noblista, Serge Haroshe będzie w przyszłym roku pracował nad rozwojem technologii kwantowej w granicy prof. Konrada Banaszka z Wydziału Fizyki, jednego z laureatów w tym konkursie. Ale nie od dziś wiadomo, że *good news is no news*.

Jakiś czas temu także w „PAUzie Akademickiej” ukazał się felieton, w którym emerytowany profesor żartem przekonywał, że nie warto narzekać, że dziennikarze mało czasu poświęcają na sprawy nauki i szkolnictwa wyższego. Doszedł nawet do wniosku, że im mniej nauki

Na fotografii była rektor UW w trakcie pozowania portreciście, Andrzejowi Okręczykowski. Zdjęcie zostało zrobione w sierpniu. Portret wisi w galerii w Pałacu Kazimierzowskim.

O powstawaniu tego i innych portretów rektorów będzie można przeczytać w kolejnym numerze „UW”.

w mediach tym lepiej. A właściwie tylko jej całkowite wyeliminowanie ze sceny publicznej sprawi, że odzyska dawny autorytet. Sama mam czasem podobne wrażenie. Przecież jeśli mówi się lub pisze o badaniach, to tylko takich, które natychmiast znajdą zastosowanie i są zupełnie „przełomowe”. Tak jakby przełom w nauce odbywał się co tydzień. Pierwsze pytanie, jakie słyssałam w związku z odkryciem cząstki Higgsa, dotyczyło tego, jaki będzie miało ono wpływ na gospodarkę?

Internet stworzyli fizycy cząstek elementarnych dla własnych celów, a dziś jest on narzędziem, wykorzystywanym przez ludzi na całym świecie. Nikt tego nie przewidział, nie zaprogramował. Nikt nie powiedział, że mają być innowacyjni. Gdy w latach 60. minionego stulecia zbudowano pierwszy laser, zupełnie inaczej wyobrażano sobie zastosowanie światła spójnego. Sądono, że dzięki temu wynalazkowi rozwinie się przede wszystkim holografia – powstaną filmy i programy trójwymiarowe. A tak się nie stało. Hologramy mają zastosowanie w zabezpieczeniach dokumentów, ale walka o trójwymiarowy obraz cały czas nie została rozstrzygnięta. Podobnie jest z kryptografią kwantową – prace z nią związane może nie należą w tej chwili do priorytetowych z punktu widzenia polskiej gospodarki, ale kto wie, co będzie w przyszłości?

Od trzech miesięcy ogląda Pani Uniwersytet z trochę innej strony. Już nie jako rektor, ale profesor Wydziału Fizyki. I co Pani widzi?

Każda przygoda ma swój początek i swój koniec. Nie mam poczucia, żeby w moim życiu zmieniło się aż tak bardzo wiele. Zmieniłam tylko dyscyplinę. Powiedzmy, że skakałam przez płotki, a teraz skaczę wzwyż. Zaczęliśmy od baseballisty, może stąd to porównanie sportowe.

Koniec mojego urzędowania przypadł w bardzo dobrym momencie. Ustawy o finansach publicznych i zamówieniach publicznych, cała ta rozbuchana biurokracja, z którą wciąż jako uczelnia musimy się mierzyć, były dla mnie coraz większym obciążeniem. Pomysłodawcy tych ustaw w ogóle nie uwzględnili specyfiki

takich instytucji, jak uniwersytety czy instytuty badawcze. Uczelnie zostały potraktowane jak zwykłe przedsiębiorstwa i ściśnięte gorsetem procedur.

Ale na przyszłość Uniwersytetu patrzę bardzo optymistycznie. Zmierzamy w kierunku Uniwersytetu badawczego, już teraz jedną trzecią naszego budżetu stanowią fundusze pozyskiwane na badania, a w kolejnych latach będzie pewnie to wyglądało jeszcze lepiej. Powinniśmy koncentrować się przede wszystkim na kształceniu na studiach magisterskich i doktoranckich. Uniwersytet nie musi mieć pięćdziesiąt tysięcy studentów, wystarczyłoby trzydzieści tysięcy.

Trzydzieści tysięcy?

A dlaczego nie? Tylko najpierw musiałby się zmienić sposób finansowania szkół wyższych w Polsce.

Stanford University ma piętnaście tysięcy studentów, ale ma nienaruszalny kapitał, *endowment*, który wynosi siedemnaście miliardów dolarów, a nasz *endowment* wynosi zero. Dlatego przy obecnym sposobie finansowania uczelni, liczba studentów ma tak kolosalne znaczenie. Od tego może zależeć być albo nie być wielu szkół wyższych.

Pamiętam, jak w trakcie jednego z posiedzeń Senatu UW ubiegłej kadencji, jeden z jego członków, zaniepokojony tym, że na niektórych kierunkach stawiane są coraz niższe wymagania wobec kandydatów na studia zapytał, kogo przyjmiemy w kolejnym latach, jeśli teraz przyjmujemy wszystkich. To była hiperbola, ale dobrze obrazuje pewien trend.

Mam nadzieję, że kiedyś Uniwersytet będzie mógł wprowadzić znów egzaminy na studia. Powinniśmy poprzeczkę powiesić znacznie wyżej i sprawdzać pewne kwalifikacje uniwersalne kandydatów oraz ich predyspozycje do studiowania na danym kierunku. Jeśli ktoś nie lubi czytać i pisać, to nie powinien iść na dziennikarstwo. Najlepsze uczelnie, takie jak Uniwersytet, powinny mieć większe prawa, większą autonomię, nawet w określaniu warunków rekrutacji na studia. Wyniki matury mogą odgrywać rolę, ale nie powinny być decydujące.

Internet stworzyli fizycy
cząstek elementarnych,
a dziś jest on narzędziem,
wykorzystywanym przez ludzi
na całym świecie. Nikt tego
nie przewidział.
Nikt nie powiedział,
że mają być innowacyjni





**O uroczystości
piszemy także
w „Wyimkach”
na s. 25.**

**Artykuł
o architekturze
gmachu przy
ul. Dobrej 55
opublikowaliśmy
w poprzednim
numerze „UW”.
Jest on także
dostępny w wydaniu
internetowym pisma.**

– Dla architekta nie ma nic przyjemniejszego niż zobaczyć swój projekt już zrealizowany – mówiła prof. Ewa Kuryłowicz podczas otwarcia nowej siedziby wydziałów lingwistycznych przy ul. Dobrej 55.

Nad projektem budynku pracowało 40 osób. Pracownia Kuryłowicz & Associates konkurs architektoniczny wygrała już w 2006 roku, a w pełni gotowy budynek można było zwiedzić 25 października.

Wydział Lingwistyki Stosowanej oraz Wydział Neofilologii swoje siedziby miały do tej pory w kilku miejscach w Warszawie. – Bardzo chętnie razem z dziekanem Wydziału Neofilologii zabralibyśmy państwa na wycieczkę na ulicę Browarną i nieco dalej, na Szturmową, myślę, że to by było lepsze niż przemawianie. Przenieśliśmy się niespodziewanie z rzeczywistości siermiężnych lat 70. do XXI wieku – przyznał prof. Krzysztof Hejwowski, dziekan WLS.

Na razie do nowego gmachu przeniosła się większość jednostek Neofilologii, głównie ze stojącego tuż obok budynku przy ul. Browarnej, ale za kilka lat, kiedy wybudowana zostanie już druga część, przeprowadzić się będą mogli pozostali.

Budynek będzie miał w sumie 42 tys. m².
– Będzie to bardzo duży zespół jak na budynki

akademickie. Chcąc, aby był bardzo przejrzysty skoncentrowaliśmy pomieszczenia wokół pięciu zielonych dziedzińców – mówiła prof. Kuryłowicz. Każdy z ogrodów będzie dedykowany jednemu z pięciu obszarów kulturowych, jednemu z języków, których można się tam uczyć. Na razie gotowy jest ogród germański, zaprojektowany na wzór średniowiecznych przyklasztornych dziedzińców. Po zakończeniu drugiego etapu dołączą do niego jeszcze dziedzińce: angielski, francuski, słowiański i włoski.

Odpocząć wśród zieleni można również na dachu, z którego widać panoramę Warszawy. Co prawda ogród podobnie jak ten na dachu Biblioteki Uniwersyteckiej jest teraz zamknięty, ale już wiosną można będzie spacerować po drewnianym tarasie wśród różnokolorowych tawu.

– Nowy budynek zmienia to miejsce w dzielnicę, która tętni życiem i staje się coraz bardziej kolorową wizytówką Warszawy – mówił prof. Marcin Pałys, rektor UW. – W ostatnich latach Powiśle stało się nowoczesnym centrum nauki, kultury, a nawet sportu i wypoczynku. Nazywamy je dzielnicą łacińską – dodała prof. Hanna Gronkiewicz-Waltz, prezydent Warszawy.

P RÓBA UDANA

Kolejny rok, kolejne zawody i kolejne zwycięstwo. Tak można opisać przebieg Akademickich Mistrzostw Polski w Programowaniu Zespołowym, które rozegrały się 28 października. Na Wydział Zarządzania przyjechały 54 drużyny reprezentujące 18 uczelni z całego kraju. Zwycięstwo, już po raz 17. odnieśli programiści z UW. Tym razem byli to: Jarosław Błasiok, Mirosław Michalski oraz Jakub Oćwieja. Drugie miejsce zajęli również nasi informatycy, a trzecie drużyna z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Spośród ośmiu uniwersyteckich zespołów do najlepszej dziesiątki zakwalifikowało się pięć. Do rozwiązania tym razem było 11 zadań. Tylko tym najlepszym udało się wykonać 10.

– Mistrzostwa Polski to dla młodych zespołów świetny moment na zaprezentowanie swoich umiejętności. Udział w nich może zadecydować o tym, które drużyny pojadą w listopadzie na eliminacje regionalne – mówi prof. Krzysztof Diks, kierownik zawodów oraz wieloletni trener programistów.

Akademickie Mistrzostwa Europy Środkowej w Programowaniu Zespołowym (CERC) już w połowie listopada w Krakowie, a wielki finał – mistrzostwa świata – w lipcu w Sankt Petersburgu. Drugie miejsce w zeszłorocznych finałach zdobył gospodarz, czyli Uniwersytet Warszawski, ustępując jedynie zespołowi programistów z Rosji.

T ABLICA W CZERNIOWCACH

Czerniowce leżą w południowo-zachodniej części Ukrainy. Centrum miasta jest pełne uroku i śladów dawnych mieszkańców, znajduje się tam m.in. pomnik Paula Celana, poety, który urodził się w tym mieście, a także budynek byłej synagogi Tempel.

11 września na Czerniowieckim Uniwersytecie Narodowym im. Jurija Fedkowycza, przy okazji obchodów 50-lecia optyki na tej uczelni, uczczono pamięć o prof. Wojciechu Rubinowiczu polskim fizykiem, pionierze badań nad kwantową naturą atomów i promieniowania. Na elewacji

budynku, który jest siedzibą władz tamtejszego uniwersytetu, umieszczono tablicę poświęconą wybitnemu fizykowi, który był absolwentem oraz wykładowcą uczelni w Czerniowcach. Pracował także m.in. na Uniwersytecie Lwowskim, a od 1946 r. na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie objął Katedrę Mechaniki Teoretycznej. W wieku 71 lat przeszedł na emeryturę, ale nadal publikował i prowadził dyskusje z młodymi współpracownikami. Zmarł w 1974 r.

Inicjatorem odsłonięcia tablicy był prof. Tomasz Szoplik z Wydziału Fizyki.

Znajduje się na trzecim piętrze w Bibliotece Uniwersyteckiej, jest wielofunkcyjna, ma 202 m², a od niedawna własną nazwę. Od 19 listopada sala 316 w Bibliotece Uniwersyteckiej otrzymała imię Samuela Bogumiła Lindego. To najbardziej reprezentacyjna sala w bibliotece. Mogą się w niej odbywać wystawy, koncerty, a nawet pokazy filmowe.

Nadanie imienia tej sali było wydarzeniem towarzyszącym konferencji poświęconej działalności leksykografa, autora fundamentalnego

Słownika języka polskiego, pedagoga, tłumacza, „człowieka politycznego”, a także twórcy i kierownika nowo powstałej biblioteki przy Uniwersytecie Warszawskim i na mocy dekretu z 1818 r. dyrektora generalnego Biblioteki Publicznej przy Królewskim Uniwersytecie Warszawskim oraz przyłączonych do niej gabinetów rycin, medali i starożytności – poprzedniczki dzisiejszej, nowoczesnej Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie. Konferencja odbyła się w dniach 19-20 listopada.

C HARYZMATYCZNY MILIARDER NA UW

Chciał sprzedawać choinki, później papużki faliste, aż w końcu zainteresował się przemysłem muzycznym. I to był strzał w dziesiątkę. Richard Branson, jeden z największych przedsiębiorców i najbogatszych ludzi w Wielkiej Brytanii, o swoich doświadczeniach opowiedział podczas

spotkania ze studentami UW, które odbyło się 24 października. Wtedy też zainaugurował program wspierający przedsiębiorczość wśród młodych ludzi: „Virgin Mobile Academy”. Relację z tego wydarzenia można obejrzeć na stronie Telewizji Akademickiej www.uw3d.tv.

NOMINACJE

PREZYDENT BRONISŁAW KOMOROWSKI NADAŁ TYTUŁ NAUKOWY PROFESORA
NASTĘPUJĄCYM PRACOWNIKOM UNIwersYTETU:

prof. dr hab. **DANUCIE ANTOSIEWICZ** i prof. dr hab. **MARIU CIEMERYCH-LITWINIENKO** z Wydziału Biologii,
prof. dr hab. **AGACIE MICHALSKIEJ-MAKSYMIAK** z Wydziału Chemii,
prof. dr hab. **ALEKSANDROWI ŁUCZAKOWI** z Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych,
prof. dr hab. **PIOTROWI KOSSACKIEMU**, prof. dr hab. **MARKOWI OLECHOWSKIEMU**,
prof. dr hab. **HANNIE PAWŁOWSKIEJ**, prof. dr hab. **ANDRZEJOWI GOLNIKOWI**
oraz prof. dr hab. **PAWŁOWI URBAŃSKIEMU** z Wydziału Fizyki,
prof. dr hab. **JACKOWI MIGASIŃSKIEMU** z Wydziału Filozofii i Socjologii,
prof. dr hab. **BRONISŁAWOWI MATYJI** z Wydziału Geologii,
prof. dr hab. **JERZEMU WASILEWSKIEMU**, prof. dr hab. **PIOTROWI BIELIŃSKIEMU**,
prof. dr hab. **ZBIGNIEWOWI SKOWRONOWI** oraz prof. dr hab. **HANNIE ZOWCZAK**
z Wydziału Historycznego,
prof. dr hab. **JERZEMU TYSZKIEWICZOWI** z Wydziału Matematyki, Informatyki i Mechaniki,
prof. dr hab. **BARBARZE KOWALIK** z Wydziału Neofilologii,
prof. dr hab. **EWIE IHNATOWICZ** i prof. dr hab. **HALINIE KARAŚ** z Wydziału Polonistyki,
prof. dr hab. **PIOTROWI GIRDWOYNIOWI** z Wydziału Prawa i Administracji.

Uroczystości odbyły się 3, 9, 16 i 24 października.

3 października prezydent odznaczył również Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski prof. dr hab. **EWĘ BARTNIK** z Wydziału Biologii, a Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski prof. dr hab. **MACIEJA GELLERA** z Wydziału Fizyki, wieloletniego dyrektora Festiwalu Nauki.

ZAROBIMY NA BADANIACH

Uniwersytet założył spółkę celową UWRC. Zajmie się ona produkcją i sprzedażą podstawowego radiofarmaceutyku ^{18}F -FDG (fluorodeoksyglukoza) we współpracy z partnerem komercyjnym. Odbiorcami tych specyfików mogą być mazowieckie szpitale.

Radiofarmaceutyki to substancje promieniotwórcze wykorzystywane w diagnostyce nowotworów. W kraju jest kilka ośrodków, które produkują te specyfiki komercyjnie, np.: Kielce i Kraków. Substancje te są także sprowadzane do Polski z zagranicy, np. z Wiednia lub Berlina. – Pierwszym zadaniem spółki będzie wytwarzanie i sprzedaż radiofarmaceutyków – zapowiada zastępca kanclerza ds. ekonomicznych dr Artur Chelstowski. – Nasze produkty będą konkurencyjne, ich cena będzie niższa, choćby o koszt transportu.

Rektor UW, prof. Marcin Pałys przekazuje: – Razem z produktami wprowadzamy na rynek wiedzę, osiągnięcia i potencjał pracowników uczelni. Wykorzystujemy je z pożytkiem dla innych. Dzięki temu prace prowadzone przez badaczy z UW będą widoczne nie tylko w świecie nauki, ale i biznesu.

KROK PO KROKU

Utworzenie przedsiębiorstwa rekomendowała senacka komisja prawno-statutowa. W głosowaniu nad powołaniem spółki brało udział 47 senatorów. Wszyscy byli za. Ówczesna rektor, prof. Katarzyna Chałasińska-Macukow zatwierdziła podpisem uchwałę z 13 czerwca.

Nowelizacja ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym pozwala na powołanie spółki celowej po to, by komercjalizować prace uczelni. – Powołanie takiej spółki pozwala na zabezpieczenie Uniwersytetu przed ryzykiem związanym z działalnością na rynku – mówił rektor na posiedzeniu Senatu UW. – Spółka będzie ponosić za nie odpowiedzialność, ograniczoną do wysokości swojego majątku.

PODMIOT KOMERCYJNY W PUBLICZNEJ UCZELNI

UWRC będzie spółką z ograniczoną odpowiedzialnością. – Pomoże ona komercjalizować wyniki badań naukowych pracowników Uniwersytetu, wykorzystywać ich potencjał – zapewnia prof. Marcin Pałys. – Uczelnia nie jest instytucją, która łatwo może operować na rynku. Dlatego założyliśmy spółkę – podmiot komercyjny,

który może współpracować z innymi podmiotami.

7 września został podpisany akt notarialny. Spółka jest zarejestrowana, ma rachunek bankowy i numer KRS. Nazwa przedsiębiorstwa – UWRC – rozwija się tylko w części. Pierwszy członek oznacza Uniwersytet Warszawski. A drugi? – Może będzie trzeba ogłosić konkurs na wyłomaczenie akronimu – zastanawia się pełnomocnik rektora ds. projektu PET UW dr Jarosław Choiński. Kanclerz Chelstowski ma już pomysły na rozwinięcie skrótowca: – Może to być radiochemia albo Research Center.

UWRC musi zdobyć akceptacje Głównego Inspektoratu Farmaceutycznego i Ministerstwa Zdrowia, a lek musi znaleźć się w Farmakopei – spisie leków dopuszczonych do obrotu.

– Chcielibyśmy, aby spółka rozpoczęła działanie w pierwszym kwartale nowego roku – mówi dr Jarosław Choiński. – Termin rozpoczęcia działalności, rozumiany jako moment rozpoczęcia produkcji FDG zgodnie z założoną licencją, wydaje się realny. Będzie to czas konieczny na zebranie dowodów na to, że nasze FDG jest naprawdę tym opisanym w Farmakopei.

ŻYJĄ KILKA GODZIN

Radiofarmaceutyki powstają z połączenia izotopu pierwiastka promieniotwórczego i nośnika tego izotopu. Umieszczane są w ciele pacjenta. Promieniowanie wytwarzane przez radioizotop rejestruje Pozytonowy Tomograf Emisyjny (PET). W ten sposób odkrywa się chore komórki.

Radiofarmaceutyki są substancjami krótkotrwałymi, dlatego na rozpoczęciu produkcji skorzystają placówki z Mazowsza. FDG mogłoby być produkowane bardzo wcześnie rano i przed południem rozwożone do szpitali.

Odbiorcami produktów UW mogą być instytucje, które posiadają skanery PET. – Takie urządzenia są w kilku warszawskich szpitalach i instytutach Polskiej Akademii Nauk, które korzystają z radiofarmaceutyków w badaniach klinicznych lub na zwierzętach – zauważa rektor Pałys.



Szpitala ogłaszają przetargi na dostawcę radiofarmaceutyków. UWRC będzie mogła w nich startować.

Ośrodek planuje zatrudnić nowych pracowników przy produkcji specyfiku. – Potrzebujemy ludzi z odpowiednimi umiejętnościami, pracowników wykwalifikowanych w rozumieniu ustawy Prawo farmaceutyczne – precyzuje dr Choiński. – Przydaliby się oni w naszym zespole.

WARUNKI LABORATORYJNE

Substancje będą powstawały w otwartym w maju Ośrodku Produkcji i Badań Radiofarmaceutyków na terenie Środowiskowego Laboratorium Ciężkich Jonów UW.

Nowa jednostka jest centrum badawczym i producentem radioizotopów, stosowanych w technice PET. Tę wykorzystuje się w medycynie nuklearnej. Dzięki PET możliwa jest wczesna diagnoza choroby Huntingtona i śledzenie przebiegu chorób Alzheimera, Parkinsona oraz padaczki i schizofrenii. Prace prowadzone w OPIBR mogą przyczynić się do szybszego leczenia chorób, np. nowotworów, zaburzeń pracy mózgu i serca oraz stanów zapalnych niejasnego pochodzenia.

W laboratorium działa cyklotron do zastosowań medycznych (GE-PETtrace). Produkuje radioizotopy. W placówce są jeszcze urządzenia chemiczne syntezujące i dystrybuujące radiofarmaceutyki znakowane fluorem, węglem i tlenem. Znajdują się tam też przyrządy kontrolujące jakość tych substancji. Placówka została wyposażona w aparaturę produkującą fluorodeoksyglukozę.

PROFESOR BIZNESMENEM

Kancelarz Chełstowski tłumaczy, że spółki celowe nie mają charakteru naukowo-badawczego, ale biznesowy: – Tak mówi polskie prawo. Ryzyko dotyczy ich tak jak innych przedsiębiorstw. Ale w naszym ośrodku będą się odbywały badania naukowe.

Funkcjonowanie UWRC skoncentruje się na dwóch celach. – Chcielibyśmy, aby ośrodek łączył

działalność badawczą i komercyjną – podkreśla dr Jarosław Choiński. – Jeszcze nie wiemy, która z tych aktywności okaże się dominująca w przyszłości.

Po pierwszym roku działalności będzie można ocenić, ile spółka na siebie zarobi. – Zyski ze sprzedaży tych substancji mogą być wypłacane właścicielowi spółki, Uniwersytetowi, jako dywidendy – tłumaczy rektor UW. – Mogą też być zainwestowane w przedsięwzięcia komercjalizujące wyniki prac naukowych UW, które chcielibyśmy rozwijać albo zasilić fundusz wspomagający nasze badania.

Kancelarz i koordynator projektu PET nie wykluczają prac nad nowymi lekami. – Kolejne prace badawcze nad radiofarmaceutykami będą się odbywały na zgromadzonym już sprzęcie – mówi dr Choiński. – Te radiofarmaceutyki będą zawierały węgiel C-11 o czasie połowkowego zaniku 20 min. Inna grupa związków to te z wbudowanym fluorem F-18.

KOLEJNE SPÓŁKI

Rektor Uniwersytetu uważa, że uczelnia powinna mieć kilka spółek celowych. – Jedna spółka nie może łączyć wszystkich aktywności – stwierdza prof. Marcin Pałys. – Są takie dziedziny działalności naukowej, których nie da się połączyć. Produkcji radiofarmaceutyków nie da się zestawić z tłumaczeniami automatycznymi albo ekspertyzami ekonomicznymi lub socjologicznymi. Najkorzystniej byłoby powoływać spółki celowe dla podobnych do siebie grup przedsięwzięć. To pozwoliłoby na wykorzystywanie synergii między nimi.

Władze uczelni chciałyby rozpocząć kolejne działania biznesowe. Do takich przedsięwzięć przymierzają się: Wydział Chemii i Centrum Nowych Technologii. Na razie są one na etapie planowania.

Razem z produktami wprowadzamy na rynek wiedzę, osiągnięcia i potencjał pracowników uczelni. Wykorzystujemy je z pożytkiem dla innych.

prof. Marcin Pałys, rektor UW

POCZYTAJ MI W IRCE

Na Uniwersytecie powinien być ustalony dolny próg przyjęć, a na studia wieczorowe brakuje chętnych – takie wnioski płyną z zakończonej rekrutacji na studia. Przez ponad cztery miesiące w Internetowym Systemie Rejestracji Kandydatów zapisało się ponad 36 tysięcy osób. To od ich wyborów zależy teraz to, co w styczniu uczelnia zaproponuje kandydatom.

Zapisy na studia na Uniwersytecie od 2006 roku prowadzone są wyłącznie przez internet. Na początku roku udostępniono kandydatom katalog kierunków studiów. Do wyboru było aż 413 możliwości, obejmujących wszystkie kierunki, specjalności oraz formy studiów. To o 60 więcej niż rok temu. W ofercie znalazło się również 19 programów prowadzonych w języku angielskim oraz jeden po rosyjsku.

Chociaż na większości polskich uczelni, w obliczu kryzysu demograficznego, spada ogólna liczba przyjęć, na Uniwersytecie jest wręcz przeciwnie. W zeszłym roku w systemie zapisało się 35 587 osób, w tym 36 078. Poprzednio przyjęto łącznie 18 977 osób, a teraz 20 241 (na studia stacjonarne odpowiednio 11 580 i 12 248). Bilans jest więc dodatni.

Pierwsze zapisy rozpoczęły się w czerwcu,

Popularność kierunków od kilku lat wygląda podobnie. W czołówce najczęściej wybieranych nadal znajdują się: prawo, ekonomia, zarządzanie i psychologia, a największa rywalizacja o jeden indeks toczyła się na dziennikarstwie i komunikacji społecznej (marketing medialny i PR), gdzie na jedno miejsce było 26 kandydatów.

WRZESIEŃ DRUGIEGO STOPNIA

W tym roku podczas pierwszej tury zapisów na ponad 20 kierunkach nie wypełniono limitów miejsc, dlatego uruchomiono dodatkowe rejestracje m.in. na naukach o rodzinie, polityce społecznej, filologii białoruskiej, informacji naukowej i bibliotekoznawstwie, ochronie środowiska czy europeistyce w zakresie europejskich procesów integracyjnych. Większość z nich udało się jednak zapełnić. Ze 122 propozycji na

Chociaż na większości polskich uczelni, w obliczu kryzysu demograficznego, spada ogólna liczba przyjęć, na Uniwersytecie jest wręcz przeciwnie.



a ostatnie rejestracje zamknięto w październiku. W trakcie tych kilku miesięcy w systemie IRK zarejestrowało się 36 078 kandydatów, którzy dokonali łącznie 65 487 rejestracji. Teoretycznie, każdy z kandydatów może zapisywać się na nieograniczoną liczbę kierunków. Średnio, jedna osoba zapisywała się na dwa programy studiów. Tegoroczny rekordzista rejestrował się 33 razy. Takie przypadki zdarzają się co roku. Podczas ubiegłorocznej rekrutacji maturzysta dokonał 30 zapisów. Najwidoczniej był to przymus w każdej dziedzinie, bo kierunki, które wybierał były bardzo przekrojowe: od filologii angielskiej po matematykę, a dostał się prawie na wszystkie. Zgodnie z uchwałą Senatu UW, jak każdy student, wybrać mógł tylko jeden z nich.

studiach stacjonarnych pierwszego stopnia i jednolitych magisterskich nie uruchomiono jedynie trzech specjalności lingwistyki stosowanej.

– Zdarzało się, że wydziały bojąc się małej liczby kandydatów, którzy zgłosili się w lipcu, podczas pierwszej tury zapisów, przyjmowały kandydatów, którzy w postępowaniu rekrutacyjnym uzyskali nie najlepsze wyniki – mówi prof. Marta Kicińska-Habior, prorektor ds. studentów i jakości kształcenia. – Uważam, że do ogólnych zasad rekrutacji powinniśmy wprowadzić dla całej uczelni dolny próg punktów, żebyśmy nie byli zmuszeni do przyjmowania wszystkich chętnych – dodaje.

W turach wrześniowych było już lepiej. Przychodzili kandydaci znacznie lepsi, dlatego na

niektórych kierunkach zostały zwiększone limity przyjęć. Tak było na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, szczególnie w Instytucie Dziennikarstwa, gdzie przyjęto o 54 osoby więcej niż zakładano. Ponad limit przyjęto też na Neofilologii. Dodatkowych 38 osób studiuję już germanistykę, iberystkę oraz filologię: angielską, romańską, ugrofińską i włoską. Tury wrześniowe są szczególnie ważne dla osób chcących uczyć się na studiach magisterskich oraz kandydatów na studia niestacjonarne. – Na niektórych kierunkach II stopnia rekrutacje zostały zakończone już w lipcu, a egzaminy licencjackie przeprowadzane były jeszcze we wrześniu. Powinniśmy przedłużyć moment przyjmowania na studia naszych absolwentów, aby nie musieli czekać rok na kolejne zapisy – uważa prof. Kicińska-Habior.

ARCHEOLOGIA LEPSZA NIŻ ARCHEOLOGY

Co roku uruchamiane są nowe kierunki i specjalności. Tym razem nowości było siedem. Jak się sprawdziły? Limit miejsc wypełniono na czterech z nich. Na logopedię ogólną i kliniczną (stacjonarne, I stopnia) chętnych było wielu, zgłosiło się 203 kandydatów. Miejsc było 50 i tyle właśnie osób od października rozpoczęło naukę nowego kierunku na Wydziale Polonistyki.

Na kolejnych trzech z uwagi na bardzo dobre wyniki rekrutacyjne, zdecydowano się przyjąć więcej osób niż zakładano. Tak było na Wydziale Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji, gdzie na studiach II stopnia uruchomiono kryminologię. W trybie stacjonarnym, gdzie limit wynosił 60 miejsc, przyjęto 78 osób, a na studiach zaocznych o 15 więcej niż zakładano (limit – 30). Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych otworzył dwa nowe kierunki, które sprawdziły się w rejestracji na studia stacjonarne. Logistykę mediów, gdzie na dwóch specjalnościach (I stopień) przyjęto o 14 osób więcej (limit 120) oraz na studiach euroazjatyckich (II stopień), gdzie przyjęto pięć osób więcej (limit – 47). Na te same kierunki prowadzone w trybie zaocznym chętnych było już o wiele mniej, dlatego nie uruchomiono kierunku euroazjatyckiego oraz jednej z logistycznych specjalności.

Od tego roku akademickiego na Wydziale Fizyki, studenci z licencjatem mogą też wybierać kolejną specjalność: biofizykę i biochemię widzenia. Limit na te studia jest niewielki, bo tylko 9 osób. Z 22 chętnych przyjęto 6 kandydatów. Zmiany są też na Wydziale Geologii, gdzie od października studiować można nie tylko geologię, ale również geologię stosowaną. Na te dwie specjalności przyjęto co prawda o 11 osób mniej niż zakładano (limit – 235), ale nowy kierunek działa. Działa też archeologia, a właściwie Archeology, bo prowadzona jest w języku angielskim. Wyniki nie są jednak zadowalające. Na studia stacjonarne I stopnia, na 65 miejsc zgłosiło się 37 osób, a przyjęto 6. Jeszcze gorzej sytuacja wyglądała w przypadku studiów magisterskich. Tam

na 60 miejsc zgłosiło się jedynie dwóch kandydatów i kierunek nie został uruchomiony.

INNE PLANY NA WIECZÓR

– Na studiach stacjonarnych zanotowaliśmy wzrost przyjęć o około 7 proc. w stosunku do roku ubiegłego – mówi prof. Marta Kicińska-Habior. – Gorzej niestety przedstawia się sytuacja studiów magisterskich niestacjonarnych, a w szczególności wieczorowych. – dodaje. Tam na szereg kierunków przyjmowano po kilka osób. Tak było na biotechnologii, filozofii, socjologii (gdzie założono limit 100 osób) czy na ekonomii.

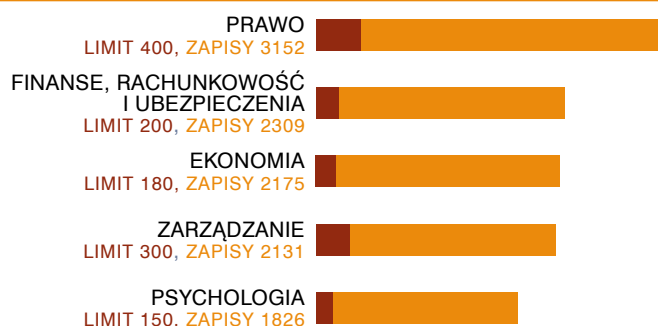
Obecnie przygotowywany jest raport rekrutacyjny, który gotowy powinien być w przyszłym miesiącu. Wszystkie problemy, które pojawiły się podczas tegorocznych zapisów będą jeszcze omawiane podczas grudniowego posiedzenia Senatu. W styczniu efekty – w postaci nowego katalogu kierunków – zobaczą nowi kandydaci.

Chętni zza Odry, Bugu, morza i oceanu

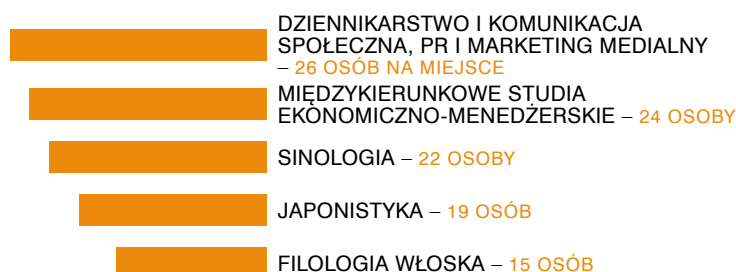
■ Z roku na rok na Uniwersytecie rośnie liczba kandydatów z zagranicy. Teraz przyjętych zostało 1024 osób, a to o 15 proc. więcej niż podczas zapisów na rok 2011/2012.

■ Najwięcej chętnych, podobnie jak poprzednio było z Ukrainy oraz Białorusi. Od października studia na UW podjęło również wiele osób pochodzących z państw położonych na innych kontynentach, m.in. 27 osób z Chin i 19 ze Stanów Zjednoczonych. Nie brakowało też kandydatów z Niemiec, Turcji, Wietnamu czy Nigerii.

Najpopularniejsze kierunki pod względem liczby zgłoszeń:



Największa rywalizacja o jeden indeks toczyła się na kierunkach:



Największa rywalizacja o indeks toczyła się na dziennikarstwie i komunikacji społecznej (marketing medialny i PR), gdzie na jedno miejsce było 26 kandydatów.

AKCJA DELIBERACJA

Studiowanie na warszawskich uczelniach wzięli pod lupę dyskutanci „Sondażu deliberatywnego® na Uniwersytecie”. Zajęli się opłatami za drugi kierunek studiów, metodami kształcenia i plagiatem.

Bez wychodzenia z domu studenci i eksperci dyskutowali o jakości studiowania. W konsultacji online mógł uczestniczyć każdy, kto studiuje na jednej z warszawskich uczelni co najmniej od roku. Odbyły się 2 debaty. Pierwsza w grupach 22 października, druga z pytaniami przygotowanymi przez studentów do ekspertów – 29.

Akcję zorganizowało Centrum Deliberacji w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Centrum miało ambasadorki w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, Akademii Pedagogiki Specjalnej, Politechnice Warszawskiej i Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Mogło też liczyć na wsparcie samorządów studenckich innych warszawskich uczelni. Do udziału w przedsięwzięciu zostały zaproszone wyższe szkoły publiczne i niepubliczne.

Studenci wypowiadali się na trzy tematy: polityki antyplagiatowej, metod kształcenia i odpłatności za drugi kierunek.

Po raz pierwszy w Polsce całe przedsięwzięcie odbyło się online. – Niektórych to zaskoczyło – mówi Justyna Wiśniewska, członkini zespołu projektu i doktorantka WDiNP UW. – Pytali dokąd mają przyjechać na debatę.

Latem ubiegłego roku CD realizowało projekt monitoringu jakości konsultacji społecznych w miastach. Później pomagało przeprowadzić bardzo trudne konsultacje na temat prohibicji w jednej z dzielnic Częstochowy.

DIALOG UPORZĄDKOWANY

Badanie na UW było wzorowane na Sondażu deliberatywnym®. Metodę opracował prof. James Fishkin, dyrektor Centrum Demokracji Deliberatywnej na Uniwersytecie Stanforda. Polega ona na konsultowaniu problemów z tymi, którzy mają przynajmniej podstawową wiedzę na poruszany w badaniu temat. Chętni dostają specjalnie przygotowane materiały informacyjne, z którymi muszą się zapoznać. Wypełniają ankietę na początku i na końcu przedsięwzięcia. Wyniki są prezentowane decydentom i podawane do publicznej wiadomości.

– Metoda Sondażu deliberatywnego® uwzględnia wielu uczestników – mówi dr Anna Przybylska, kierownik Centrum Deliberacji. – Później odwołuje ich do materiałów informacyjnych, które są niezwykle ważne, bo przygo-

towywane wspólnie z przedstawicielami danej społeczności lokalnej. To mogą być organizacje samorządowe, liderzy społeczni czy grupy mieszkańców. Bezstronny badacz spisuje propozycje społeczności albo pomaga je wyłonić.

Głos ekspertów także brany jest pod uwagę, ale nie jest najważniejszy. – Metoda ta porządkuje dialog – zapewnia dr Anna Przybylska. – Uczestnicy mają okazję wypowiedzieć się na temat konkretnych pomysłów i zaproponować swoje rozwiązania. Zastanawiają się nad plusami i minusami każdej propozycji. Ich komentarze mają znaczenie, bo propozycje nie są przygotowywane wyłącznie przez ekspertów, a debata odbywa się przed podjęciem decyzji przez przedstawicieli władz.

SELEKCJA POZYTYWNA

Trzy tematy zostały wyłonione przed debatami. – Podczas seminarium badawczego studenci odwiedzali dziekanów i przedstawicieli samorządów studentów po to, aby określić najważniejsze wątki – opowiada Patryk Korzeniecki, członek zespołu CD, doktorant Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych. – Sporządziliśmy ranking tematów.

Aby móc się wypowiedzieć w sondażu, trzeba było wypełnić ankietę. Zrobiło to 990 studentów z warszawskich uczelni. 300 osób zadeklarowało, że weźmie udział w debatach. Otrzymały one materiały informacyjne.

Dyskutanci wcześniej się nie widzieli. – Byli dobierani do pokoiów dziedzinowo, ale z różnych uczelni – mówi Beata Charycka, członkini zespołu debaty, doktorantka na Wydziale Filozofii i Socjologii. – W osobnych pokojach znaleźli się reprezentanci nauk przyrodniczo-medycznych, inżynierskich, społecznych czy humanistycznych. W każdej z 9 grup znalazło się do 10 osób. Ostatecznie w dyskusji wzięło udział 70 z nich.

LAS RĄK

Pytania wybrane w czasie pierwszego spotkania online, zostały odczytane podczas drugiego spotkania przez ich autorów. Odpowiadali: prof. Marek Kowalski z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, dr Agnieszka Chłoń-Domińczak i dr Katarzyna Mikołajczyk ze Szkoły



Studenci, biorący udział w Sondażu deliberatywnym®, przygotowali pytania, na które odpowiadali eksperci podczas drugiej debaty. Ci, którzy nie uczestniczyli w niej, będą mogli zapoznać się z odpowiedziami w raporcie z badania.

Oto niektóre z 27 pytań (pisownia oryginalna).

Roksana z 2 grupy: Dlaczego cytowanie siebie nazywa się plagiatem?

Tomasz z 8 grupy: Jak dać młodemu adiunktom i asystentom więcej prawa do decydowania o dydaktyce na uczelni i zapewnić lepszą zastępowalność starszych wykładowców przez młodszych?

Ania z 9 grupy: Czy najslabiej oceniani wykładowcy są kierowani przez uniwersytet na szkolenia w zakresie dydaktyki?

Michał z 3 grupy: Jakie są inne, wartościowe rozwiązania, metody rozwiązywania kwestii odpłatności za drugi kierunek studiów na świecie?

Radą i wsparciem w zakresie przygotowania debaty od strony metodologicznej służyło Centrum Demokracji Deliberatywnej na Uniwersytecie Stanforda. Ankiety online wykonała Agencja Badań Rynku i Opinii SW Research. Firma Adobe zajęła się oprogramowaniem do debat.

Centrum Deliberacji działa w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. Są w nim podejmowane pilne problemy praktyczne dotyczące komunikacji w demokracji. Centrum prowadzi też seminaria otwarte. Więcej informacji na stronie: www.cd.uw.edu.pl

Główniej Handlowej, dr Rafał Godoń z Uniwersytetu Warszawskiego oraz dr Dominik Antonowicz z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Po tym studenci znowu dyskutowali w grupach.

Przedsięwzięcie wymagało od uczestników samodzielnej pracy. Organizatorzy obawiali się podczas debat ciszy, a tymczasem był las rąk – ciągle odnawiała się kolejka do wypowiedzi i do zadawania pytań uzupełniających.

CHĘTNIE SIĘ PODZIELIMY

– Sondaż deliberatywny® jest doskonałym przykładem działania wykraczającego poza system zapewniania jakości kształcenia na uczelni – ocenia Dominika Kita, przewodnicząca Parlamentu Studentów Rzeczypospolitej Polskiej, który patronował akcji. – Tylko wtedy będzie możliwe doskonalenie jakości, gdy jako studenci będziemy formułować nasze potrzeby.

Justyna Wiśniewska zapewnia, że dzięki badaniu studenci mogą poczuć, iż mają coś do powiedzenia. – Sondaż pokazuje, że każdy student może coś zrobić nie tylko dla siebie, ale i dla innych. On sam zgłasza pomysły. Sondaż może być formą budowania społeczeństwa obywatelskiego.

Piotr Müller, przewodniczący Zarządu Samorządu Studentów UW, przewiduje: – Wyniki sondażu mogą stać się doskonałą podstawą do zmiany funkcjonowania relacji student-uczelnia. Ważne jest budowanie przekonania, że we wspólnocie akademickiej każdy ma swoją rolę do spełnienia.

Dr Anna Przybylska ocenia: – Zebraliśmy unikalne doświadczenie przy przedsięwzięciu, jakiego w Polsce jeszcze nie organizowano. Chętnie się podzielimy doświadczeniami

z innymi uczelniami i na UW. Pomożemy w organizacji przedsięwzięć o podobnym charakterze.

W tworzenie pełnego raportu będą zaangażowani ambasadorzy z różnych szkół wyższych. Do transkrypcji jest 28 godzin nagrań. Wyniki będą znane za kilka miesięcy. Zostaną przedstawione przedstawicielom władz oraz samorządom studentom wszystkich warszawskich uczelni.

– Dostarczymy pakiet informacji, systematycznie i długo przygotowywany przez studentów. Zwykle władzom uczelni prezentuje się analizy ekspercko-odgórne – mówi dr Przybylska. – Dla studentów interesujące było to, że specjaliści odpowiedzieli na ich pytania. Raport będzie cennym źródłem informacji, pochodzących od studentów, ale z ekspercką podbudową.

DEBATA ASYNCHRONICZNA

– Alternatywą dla osób, które zapisały się na synchroniczną debatę głosową w październiku, ale nie mogły wziąć w niej udziału, jest forum internetowe – przypomina Patryk Korzeniecki. Po założeniu konta studenci wezmą udział w debacie asynchronicznej bez obowiązku przebywania przy komputerze w danym momencie. Moderator będzie zadawał pytania.

Na forum można się wypowiadać do 10 listopada. I tutaj znajdzie się miejsce dla ekspertów. – Znowu poprosimy studentów o zadanie pytań. Tym razem pisemne lub głosowe odpowiedzi będą mogły być dłuższe i bardziej wyczerpujące – zapowiada dr Przybylska.

Organizatorzy sondażu mają już plany następnych przedsięwzięć. – Tematami dyskusji mogłyby być stypendia na uczelniach w Warszawie i rekrutacja na studia doktoranckie – mówi Justyna Wiśniewska. – Takie propozycje zgłaszali studenci i doktoranci.

ANNA ROSNER

FEDERALIZM DO PRZERÓBK

Miniony rok akademicki był w życiu Uniwersytetu wyjątkowo ważny. Przewidywany koniec kadencji „starych” i utarte, znane od wielu lat zasady i tryb wyboru nowych władz uczelni, wydziałów i instytutów same w sobie dostarczają zawsze wielu wrażeń. Tym razem jednak zbiegły się z burzą wywołaną wprowadzaniem w życie zmian wynikających z nowelizacji ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i Krajowych Ram Kwalifikacji.

Doc. dr Anna Rosner pracuje w Instytucie Historii Prawa. Jest członkiem Senatu UW. W latach 2008-2012 była przewodniczącą senackiej komisji ds. studentów, doktorantów i procesu kształcenia. W październiku tego roku została wybrana ponownie na to stanowisko (komisja nazywa się teraz komisją ds. studentów, doktorantów i jakości kształcenia).

Przez wszystkie niemal środowiska uniwersyteckie przetoczyły się gwałtowne dyskusje dotyczące i personaliów, i programów. Początek nowego roku akademickiego niósł też ze sobą немало emocji. Zmiany personalne w części jednostek – to nowa polityka, nowe wyzwania, na nowo układane stosunki międzyludzkie (oby z poszanowaniem reguł i zasad uniwersyteckiej demokracji oraz praw niegdysiejszych już konkurentów „politycznych”).

Wszystko to przekładało się na pracę stałych i doraźnie tworzonych komisji senackich i rektorskich. Pełniły jak zwykle rolę doradczą tych najważniejszych uczelnianych organów, ale koniec swych kadencji poświęcały przygotowywaniu uczelni do funkcjonowania według nowych zasad prawa, wprowadzonych znowelizowaną ustawą. Dodać należy, że ustawa jest w dużym stopniu nieprecyzyjna, zaś rozporządzenia wykonawcze ukazywały się ze sporym opóźnieniem. Czas biegł nieubłaganie, goniły terminy uchwalania kolejnych aktów uniwersyteckiego prawa, a nie były to poprawki wyłącznie kosmetyczne. Okazało się bowiem, że refleksje towarzyszące długim dyskusjom nad statutem, regulaminami, programami studiów,

uświadamiały i werbalizowały nową wizję wspólnego Uniwersytetu. Prace nad przystosowywaniem programów studiów do Krajowych Ram Kwalifikacji stały się inspiracją do rozważań o celach i formach kształcenia, a także ogólnouniwersyteckim forum wymiany doświadczeń. Wnioskami z tej pracy chciałabym się podzielić w przekonaniu, że mogą być pożyteczne w działaniach komisji otwierającej się kadencji. Miałam zaszczyt i przyjemność przewodniczyć przez cztery ubiegłe lata senackiej komisji ds. studentów, doktorantów i procesu kształcenia. Członkowie komisji, reprezentując różne wydziały i jednostki, szybko stworzyli znakomite współpracujący, zgrany zespół. Do uogólnień i refleksji upoważnia zaś fakt, że przez cztery lata zaopiniowaliśmy blisko 200 wniosków dotyczących programów studiów I, II i III stopnia oraz studiów podyplomowych, 100 wniosków o dofinansowanie z Funduszu Innowacji Dydaktycznych. Przygotowaliśmy propozycje wytycznych Senatu w sprawie studiów I i II stopnia i studiów podyplomowych, liczne opinie w sprawie rekrutacji, raportów działalności Samorządu Studentów UW i innych spraw bieżących. Na przełomie 2011 i 2012 r. powołane zostały dodat-

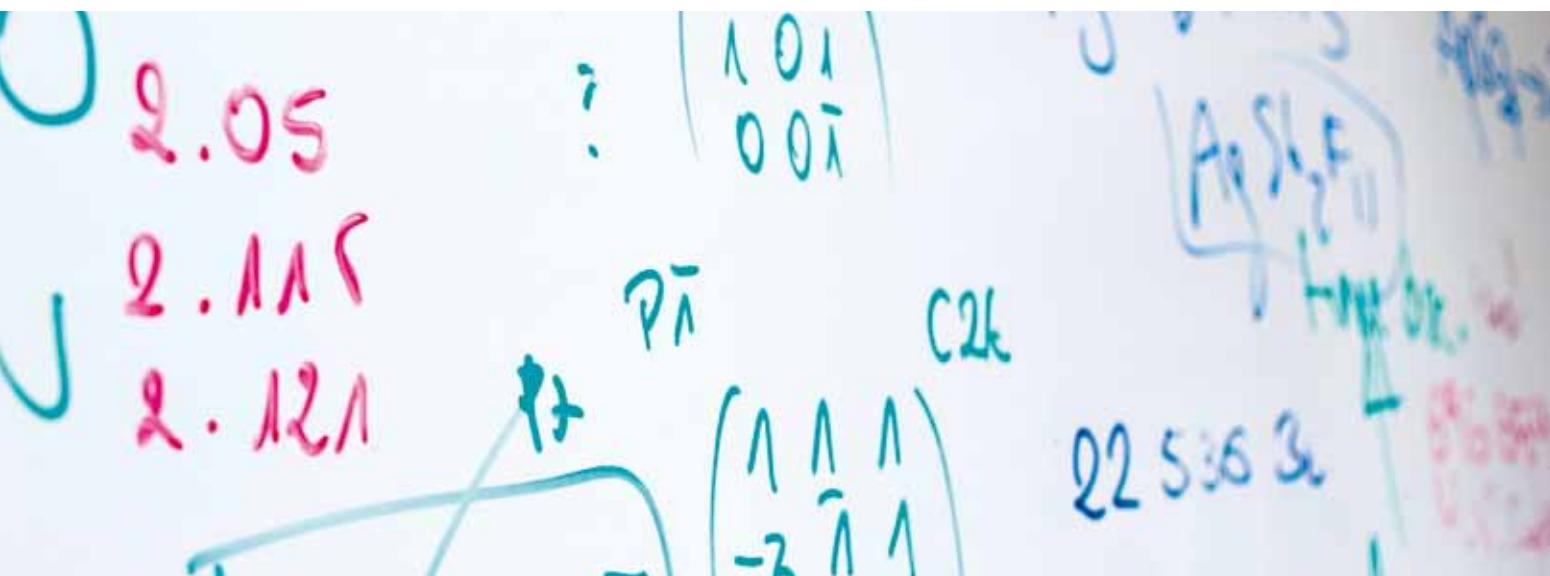
Zdarzają się sytuacje,
kiedy należy sięgać po
wykładowców – wybitnych
znawców tematu spoza UW.
Generalnie jednak powinna
obowiązywać zasada, że
poszukiwania specjalistów
rozpoczynają się na
Uniwersytecie

kowe komisje rektorskie, oceniające przystosowane do KRK programy. Kilkadziesiąt osób przystąpiło do pracy według scenariusza i wskazówek Biura Jakości Kształcenia. Warto zwrócić na to uwagę, ponieważ ta grupa pracowników uczelni, chcąc nie chcąc, musiała zgłębić istotę nowych zasad, a co ważniejsze zobaczyć efekty pracy kolegów z innych wydziałów i środowisk. Okazało się to niezwykle cenne. Bez względu na stosunek do reformy, praca ta wymusiła zainteresowanie dydaktyką uniwersytecką, jakże często traktowaną po macoszemu. Uświadomiła namacalnie wielu członkom akademickiej społeczności, że Uniwersytet to nie tylko własny wydział czy instytut, ale wspólnota o wiele większa. Od lat nie było na Uniwersytecie tak ważnej i na taką skalę prowadzonej dyskusji o dydaktyce. Tym to cenniejsze, że do zespołów delegowano na ogół młodszych pracowników, co może zapowiadać uzupełnienie przyszłych składów komisji i zespołów o osoby nowe, zaangażowane w pracę na rzecz uczelni. Ich energię i wiedzę koniecznie trzeba wykorzystać, a dyskusję o dydaktyce (niekoniecznie w kontekście KRK) kontynuować. Inspirować ją mogą w naturalny sposób prace komisji senackiej, a włączeni do niej, w większym niż do dziś stopniu, winni zostać studenci.

We wspomnianych na wstępie dyskusjach o Uniwersytecie pojawia się kilka wątków, na które chciałabym spojrzeć z punktu widzenia doświadczeń komisji. Dużo i często mówiono o [wspólnocie uczelni](#). To idea stara jak same uniwersytety i nie trzeba udowadniać jej oczywistej wartości. Jak jednak troszczyć się o nią w praktyce? W pracach komisji ten problem powracał wielokrotnie. Presja czasu, sytuacja ekonomiczna wydziałów, a przede wszystkim nowe zasady tworzenia i zatwierdzania programów studiów powodowały, że poszczególne środowiska z entuzjazmem przystąpiły do konstruowania nowych koncepcji, coraz ambitniejszych, mających przyciągnąć studentów i zapewnić byt pracownikom. Wpływające do komisji opisy tych programów były bardzo interesujące, nowoczesne, często interdyscyplinarne. Rzadko jednak spotykaliśmy się z uwzględnieniem potrzeb

i planów innych jednostek uczelni, często sąsiadów „zza miedzy”. Tak więc ważniejszym działaniem w kolejnej kadencji będzie próba wskazania i uświadomienia podobieństw w programach studiów, konieczności współpracy i współdziałania. W tym celu trzeba będzie wspólnie z władzami uczelni wypracować instrumenty (także finansowe), promujące tak opisane programy. Uniwersytet nie może stać się federacją wydziałów, zaprzeczyłoby to jego istocie. Pozwala jednak na to obecny stan prawny i tylko od nas zależy, żeby do tego nie doszło. W tej chwili na Uniwersytecie prowadzonych jest 187 kierunków studiów¹, specjalizacji zaś nie zliczę. Spis wprawia w oszołomienie nie tylko kandydatów, chcących rozpocząć studia na naszej uczelni. Wielokrotnie w mijającej kadencji zwracaliśmy uwagę na ten problem. Obecnie ta polaryzacja może się pogłębić. Wedle nowych zasad wydziały samodzielnie i odpowiedzialnie przygotowują plany programów studiów, a Senat uczelni zatwierdza tylko efekty kształcenia. Konieczne jest takie działanie władz jednostek, które biorąc – co oczywiste – pod uwagę interes własny, wpisywać się będzie w strategię Uniwersytetu, a dobro jednostki będzie tożsame z dobrem uczelni. Takie nowo opracowane kryteria oceny winny dominować w pracach komisji nad zgłoszonymi programami studiów. Częstym powodem nieporozumień w tej materii była niewiedza dotycząca prac kolegów z innych wydziałów uniwersyteckich, a nawet (co też się zdarzało) nieznajomość struktury uczelni. Konieczna jest więc dobra informacja. Być może należy wprowadzić w przyszłych pracach komisji zasadę ujawniania choćby konspektów złożonych projektów tak, aby twórcy nowych rozwiązań mogli kontaktować się ze sobą, co być może zaowocuje współpracą. Ten sam problem – w moim odczuciu – źle rozumianej konkurencji, dotyczył studiów podyplomowych. Tym większy, że dublująca się tematyka studiów na pokrewnych wydziałach prowadziła w efekcie do braku odpowiedniej liczby słuchaczy niezbędnej do uruchomienia kursu. Baczniejszą uwagę

Od lat nie było na Uniwersytecie tak ważnej i na taką skalę prowadzonej dyskusji o dydaktyce



należałoby też zwrócić na możliwość współpracy personalnej w ramach Uniwersytetu. Oczywiście jest, że zdarzają się sytuacje, kiedy należy sięgać po wykładowców – wybitnych znawców tematu spoza UW. Ogólnie jednak powinna obowiązywać zasada, że poszukiwania specjalistów rozpoczynają się na Uniwersytecie. Takie działania sprzyjać będą nie tylko współpracy merytorycznej, ale też zwykłego ludzkiego poznaniu, a w konsekwencji integracji pracowników UW.

Niewątpliwą szansą dla uatrakcyjnienia programów studiów, ale przede wszystkim dla nowej wizji Uniwersytetu, jest ustawowa możliwość prowadzenia indywidualnych studiów międzyobszarowych. Wbrew pozorom to nie jest działanie łatwe i nie możemy sprowadzić go tylko do uzyskania przez studenta dodatkowych, cennych punktów ECTS. Takie studia dają szansę nie tylko na nową dydaktykę, ale i nowe działania naukowo-badawcze, co może okazać się kluczowe dla przyszłości uczelni. Jest oczywiście, że chodzi tu o spójne i wspólne działania w różnych obszarach nauki, nie zaś przypadkowe, tworzone *ad hoc* zespoły. Komisja, na bazie zgłoszonych planów i programów takich działań, a także doświadczeń istniejących od dawna na UW studiów międzywydziałowych, powinna pomóc w stworzeniu nowej koncepcji najkorzystniejszej dla uczelni w długiej, a nie doraźnej perspek-

tywie. Ważne może tu być przeformułowanie zasad udzielania wsparcia finansowego dla nowo powstających zespołów przez działający od 2004 r. Fundusz Innowacji Dydaktycznych i opracowanie nowych zasad konkursowych.

Powszechnie dyskutowanym problemem jest **jakość naszego kształcenia**. Przywiązujemy do niej coraz większą wagę, nie bez kozery nawet w nazwie komisji w obecnej kadencji owa „jakość” się pojawia. Nie sposób jej przecenić, wszyscy oczywiście są „za”. Problem leży jednak w realizacji tego postulatu. Jakość kształcenia ma się bowiem przełożyć na jakość i wagę dyplomu, ale też na satysfakcję studentów z uczenia się i nauczycieli z uczenia innych. O jakości kształcenia powiedziano już wiele; na UW w ostatnich latach usystematyzowano i stworzono struktury dla działań projakościowych². Konieczna jest kontynuacja tych prac, a przede wszystkim wspieranie wszelkich oddolnych inicjatyw w tej materii. Na wielu wydziałach zespoły ds. zapewniania jakości kształcenia działają bardzo sprawnie i inicjują (co obserwowaliśmy w czasie ubiegłorocznych dyskusji) prace najlepiej służące i studentom, i pracownikom. Takie własne, środowiskowe inicjatywy są niewątpliwie najcenniejsze, stanowią też pożądany wzór dobrych praktyk. W ich propagowaniu komisja powinna uczestniczyć współpracując ściśle z Uczelnianym zespołem ds. zapewniania jakości kształce-

nia i Biurem ds. jakości kształcenia.

Jak trudno osiągnąć wysoką jakość nauczania wiedzą niemal wszyscy borykający się w praktyce z obowiązującym dziś postulatem upowszechnienia wyższego kształcenia. Niestety upowszechnienie najczęściej oznacza obniżenie poziomu. Prowadzę od lat zajęcia na pierwszym roku studiów prawnych, jednych z najbardziej masowych na naszej uczelni. Z własnych obserwacji mogę mówić o poważnym problemie obniżania się poziomu przychodzących do nas kandydatów. Nie jest to czas ani miejsce na analizę wad i zalet kolejnych reform edukacji licealnej i tzw. nowej matury, choć to zapewne sprawa kluczowa. Uniwersytet może i powinien włączyć się w tę dyskusję, nie tylko poprzez współtworzenie programów nauczania, ale poprzez stworzenie spójnego w skali uczelni systemu kształcenia nauczycieli (studia I i II stopnia, studia podyplomowe). Komisja powinna takie działania wspierać, a może też je inicjować, bazując na dotychczasowych obserwacjach własnych (wiele ocenionych programów) i pracy innych zespołów uczelnianych. Także problemy rekrutacji na UW wymagają poważnej dyskusji. Kryteria rekrutacji, a więc dobór kandydatów, nie mogą determinować naszych wymagań i skutkować ich obniżeniem. Korzystając z doświadczeń Biura ds. rekrutacji, można byłoby starać się skuteczniej o pozyskiwanie najlepszych kandydatów.

Rozpoczynająca się nowa kadencja komisji będzie zapewne bardzo pracowita. Będzie trzeba kontynuować prace nad metodami oceny programów, uwzględniając powyżej przytoczone uwagi. Z idei reformy i KRK wydobyć to, co najwartościowsze i najlepsze. Spójne i wspólne działania służące dobru Uniwersytetu (jego umiędzynarodowienie i wizja kształcenia) muszą być prowadzone wspólnie z innymi komisjami Senatu (np. ds. badań naukowych oraz budżetu i finansów) i do takiej współpracy należy dążyć. Ważne jest też współdziałanie z samorządami: studentkim i doktoranckim oraz bardziej aktywny niż dotychczas udział ich przedstawicieli w pracach komisji. Słowem – to będą bardzo intensywne i interesujące cztery lata. Udział w tych pracach, a wiem to z własnego doświadczenia, daje nie tylko wiedzę o programach, mechanizmach ich powstawania, strukturach uczelni. Pozwala zmienić perspektywę patrzenia na Uniwersytet znany teraz niemal „od podszewki”, a przede wszystkim daje możliwość i satysfakcję wspólnej pracy. Na Uniwersytecie mówimy o nauczaniu i dydaktyce wieloma językami. To wielka zaleta i szansa na różnorodność. Ale też potrzeba szukania wspólnego, dla wszystkich zrozumiałego i akceptowanego języka. Mam nadzieję, że w tym procesie ważną rolę odegra nowa komisja senacka ds. studentów, doktorantów i jakości kształcenia.

¹ Por. Uchwała Senatu UW nr 513 z 16 V 2012 (w sprawie kierunków studiów prowadzonych przez podstawowe jednostki organizacyjne na Uniwersytecie Warszawskim). ² Zawdzięczamy je pracy Biura ds. jakości kształcenia, Uczelnianego zespołu ds. zapewniania jakości kształcenia i wydziałowych zespołów ds. zapewniania jakości kształcenia.

Prowadzę od lat zajęcia na pierwszym roku studiów prawnych, jednych z najbardziej masowych na naszej uczelni. Z własnych obserwacji mogę mówić o poważnym problemie obniżania się poziomu przychodzących do nas kandydatów



LETNIE MARZENIA

Wakacyjny numer pisma „UW” przyniósł wyartykułowane marzenia rodem z dwóch krańców uniwersyteckiej panoramy.

Profesor polonista¹ śmiało ogłasza spostrzeżenie nie nowe, lecz starannie „zamilczane”: „Po roku 1989 nikt nie pomyślał, iż zmiana ustrojowa musi objąć także szkolnictwo wyższe”. Trafnie nazywa skutek: „fatalny stan krytyki naukowej”. Wyobraźnia humanisty każe mu szukać ratunku poza uczelnią, więc z udawaną naiwnością podsuwa prawodawcy pomysły: odpłatność za studia, prezydenckie pensje profesorów, cele praktyczne dla humanistyki. Pytanie „co robić?” pozostawia bez odpowiedzi; w mgiełce niepewności marzenia smakują lepiej.

Marzenie profesora matematyki² to uniwersytet elitarny, selekcionujący kandydatów, zauważany w rankingach, w których widzi „siłę sprawczą unowocześnienia uniwersytetu” oraz „impuls szybszego jego rozwoju”, aby UW stawał się jeszcze większy, bogatszy, bardziej znany. Także wewnętrznie otwarty – przynajmniej, że nie same przepisy są tu zawadą, lecz pokonywaniu barier na podwórku nie poświęca uwagi. Marzy o przepisach czyniących z uniwersytetu wzór do naśladowania, jakby wątpił, że do takiej roli wystarcza siła własnych dokonań.

W przededniu wakacji zabrała głos i pani minister, poruszona lamentem zacnego filozofa nad dewaluacją idei uniwersytetu³. Marzenie ministra to „Uniwersytet wolności”, w którym era wolności i dostatku za jej staraniem trwa, a alternatywą jest: „dowolność lub bezwolność. Obie dość silne, by pogrzebać ideę uniwersytetu”. Egzegeza głębokiej myśli zajęła mi wieczór. Potępiając bezwolność, wymagamy działania, wykluczając dowolność – pozostawiamy swobodę... w wykonywaniu nakazów! Ten rodzaj wolności jest memu pokoleniu nieobcy. Zawile paragrafy, opisujące licencjonowaną wolność, na naszych oczach zmieniają uniwersytet w sterowany odgórnie urząd, w którym obie zmory kwitną w najlepsze.

Czytamy, jak wiele nam wolno: „zaprosić do współpracy profesorskie sławy z całego świata” i „włączyć studentów w przygotowanie publikacji naukowych”. Przez lata robiliśmy to „na czarno”. „Jest miejsce i na pogłębianą naukową refleksję w pracy dydaktycznej”. Biurko niektórzy mają, lecz z nakazu ustaw, to nie nauczanie jest przedmiotem naszych ambicji. Tymczasem

„Trzeba przestawić myślenie o procesie kształcenia na myślenie o efektach kształcenia”. Spędzamy godziny przy egzaminach dyplomowych, a efektów kształcenia nie znaleźliśmy. „Dostęp do edukacji musi być gwarantowany jak najszerzej”, lecz „naukowe poznanie pozostanie elitarnym przywilejem tych najbardziej utalentowanych”. Jak przyjmowaliśmy studentów bez tak oświecających zezwoleń?

Złoty deszcz unijnych funduszy ma osłodzić niesmaczną „wolność”. Wśród sejmikowych sporów, splotu interesów i niepewności jutra, tęgie głowy znajdą sposoby, aby z nich uszczknąć słuszny kęs, zachowując wszystko po staremu. Ozdobne sprawozdania będą spełnieniem marzeń ministra.

Letnie marzenia przypomniły mi wizję roku 1989: mądrzej, więcej, szybciej. Pobieraliśmy lekcje ekonomii i patrzyliśmy jak uniwersytet, wysniony azyl wiedzy i myśli, staje się polem walki o interesy. Więcej góruje nad lepiej, moje ponad nasze, a miarę pożytku działania dyktuje materialna korzyść. Uszło nam, że na uniwersytecie tak być nie musi i nie powinno. Ponieważ wspominam nauki rektora zagranicznej uczelni adresowane do garstki polskich delegatów: „Kształcenie na poziomie wyższym ma dziś wymiar masowy, a jednak musi pozostać indywidualne. To zadanie twórcze dla profesorów – wybranych, wolnych i chronionych od rynkowej zawieruchy przez wypracowane reguły akademickie”.

Rację mają polonista i matematyk, poszukujący klucza do akademickiej odnowy w dobrym prawie i dobrych wzorach. Rację ma pani minister: bez „ekstra” funduszy i Kołłątaj nie zreformowałby jagiellońskiej wszechnicy. Lecz posłuchajmy rady życzliwego obcego obserwatora: marzenia o lepszym uniwersytecie ziścić mogą tylko sami profesorowie, którym pełną odpowiedzialność za kształcenie trzeba jawnie powierzać, a życiodajnym strumieniem materialnych środków wspierać trwale, z daleka widoczne owoce ich nauczania, zamiast podyskać ulotne naukowe ambicje.

Tęgie głowy
znajdą sposoby,
aby zachować
wszystko
po staremu.
Ozдобne
sprawozdania
będą
spełnieniem
marzeń ministra

Więcej felietonów
prof. Lajkonika
znaleźć można na
stronie: www.pismo-uczelni.uw.edu.pl.

Tam też dostępny
jest m.in. jego
poprzedni tekst pod
tytułem „Ścieżka
zdrowia”.

¹ J. Z. Lichański, pismo „UW” 3 (58) 2012, s. 9; ² S. Jackowski, tamże, s. 12. ³ „Tygodnik Powszechny” (2012): tygodnik.com.pl/ smierc-uniwersytetow: M. Heller, nr 28; B. Kudrycka, nr 29.

O TYM, CO NISZCZY EDUKACJĘ

Dr Łukasz Niesiołowski-
Spanó, pracuje
w Instytucie Historycznym.
Jest jednym z inicjatorów
ruchu Obywatele Nauki:
www.obywatelenauki.pl.

Ostatnio dużo się mówi o poziomie uczniów, a w konsekwencji o poziomie studentów. Dominuje oczywiście ton utyskiwania i załamywania rąk. Podnoszenie współczynnika skolaryzacji w Polsce – czyli realizacja fetyszu – oznacza bowiem ogromne koszty dla nas wszystkich. Chcę tu zwrócić uwagę na pewną cechę, którą obwiniałbym za większość wad obecnego systemu szkolnego. Zajmuję uwagę tą kwestią na łamach „UW”, gdyż zjawisko to na wiele sposobów ma związek z naszą uniwersytecką teraźniejszością oraz przyszłością.

Pomimo powszechnego niemal narzekania na poziom polskich abiturientów, nie słychać zbyt wielu głosów definiujących przyczyny owego załamania, ani tym bardziej wskazujących dróg naprawy obecnej sytuacji. Owszem, mówi się o niskim poziomie uczniów w ogóle (to argument arbitralny, ale chwytliwy), o złym przygotowaniu zawodowym nauczycieli, o złych warunkach pracy w szkołach, o tym, że to uczelnie źle kształcą przyszłych nauczycieli. Zapewne wszystko to można zilustrować przykładami, lecz główna przyczyna obecnego załamania musi tkwić w czymś innym. Uczniowie są tacy jak całe społeczeństwo i nawet amerykanizacja, popkultura, wikipedia czy Youtube tego nie zmieniły. Nauczyciele są raz lepsi, raz gorsi, ale czy są jakościowo inni od tych – z dzisiejszej perspektywy bliskich ideałowi – którzy dopuszczali do matur w latach 70. i 80.? Na pewno mają więcej narzędzi do pracy. Niekoniecznie przy tym jednak mają więcej zapału, bo tracą na prestiżu społecznym, niewiele zyskując w zamian.

Przyczyna musi tkwić zatem w zjawisku nowym, równie nowym, jak obecny system szkolny. Otóż rzecz – moim zdaniem – związana jest z masowością kształcenia, ale nie sama masowość jest istotą nieszczęścia. Kłopot w jej konsekwencjach, a mianowicie winien jest system oceniania.

Ustawiczne dążenie do tego, by coraz więcej ludzi uzyskiwało nominalne wykształcenie, wymusiło na aparacie państwowym stworzenie mechanizmów obniżających wymagania. To oczywiste. Najlepszym przykładem jest unieważnienie egzaminu maturalnego, gdy zbyt wielu uczniów go oblało. Ale za obniżeniem wymogów poszło jeszcze jedno, dramatyczne w skutkach działanie. Otóż urzędnicy wymyślili,

że wszystkie oceny powinny być ze sobą porównywalne. Obecny system oceniania oparty jest na założeniu, że bez względu na to czy uczeń uczy się w dobrym liceum w Warszawie, czy też w reprezentującej zły poziom szkole prowincjonalnej, podlegać ma takim samym kryteriom oceny. Sprawiedliwość urzeczywistniona, ktoś mógłby rzec. Owszem, ale z jakimi konsekwencjami!

Ujednolicenie kryteriów oceny uczniów na wszystkich poziomach kształcenia, a zatem na koniec VI klasy, potem na koniec gimnazjum i na maturze oznacza, że kryteria te konstruowane są w perspektywie całej populacji, a zatem od geniuszy po półanalfabetów. A ponieważ mamy fetysz, jakim jest współczynnik skolaryzacji, to budujemy kryteria oceny, by jak największy odsetek uzyskał dobre wyniki. Ponadto, są testy na koniec edukacji na kolejnych jej szczeblach, a to oznacza, że wszyscy – nauczyciele, dyrektorzy, kuratorium, komisje egzaminacyjne, rodzice itd. są zainteresowani jak najlepszymi wynikami. Wysokie współczynniki oznaczają powszechne zadowolenie z dobrze spełnionego obowiązku. Jeśli nawet uczniowie nie są geniuszami, to najwyżej nie będą kontynuowali nauki. Trudno. Myśmy swoje zrobili. Gdyby te same testy przeprowadzać nie „na wyjście”, lecz „na wejście” do kolejnego etapu nauki, byłoby inaczej. Gimnazja na egzaminach wyszukiwałyby najlepszych, licea chętniej wybierałyby uczniów zdolnych, a uczelnie miałyby możliwość dokonania selekcji, niezbędnej dla zachowania poziomu kształcenia. Czyli niesprawiedliwie, bo najstabsi nie mogliby kontynuować nauki albo nie mogliby kontynuować nauki w szkole o wyższym prestiżu? Owszem. Ale poziom byłby wyższy.

Nauczyciele akademicki szybciej niż nauczyciele szkolni skłonni byłiby przyznać, że może warto zrezygnować ze szkodliwej równości, jeśli stawką jest poziom kształcenia. Edukacja uniwersytecka nadal hołduje bowiem zasadom myślenia naukowego, gdzie nie ma demokracji i równości. W nauce rację ma tylko ten, kto ją ma, a nie ten, kto ma więcej głosów. Szkoła przeciwnie, szkoła postrzegana jest jako cywilizacyjne narzędzie powszechnej edukacji i jeśli groziłoby wykluczenie lub nierówność, to należy poświęcić jakość, by zachować dobre współczynniki „zdawalności” do następnej klasy.

SYSTEM OCENIANIA A UCZELNIA

Czemu poświęcać tyle uwagi sprawom szkolnictwa? Przecież mamy dość własnych, uniwersyteckich kłopotów? Otóż sędzę, że obecny system szkolny z jego mankamentami, powinien być doskonale zbadany przez ludzi uniwersytetów. A to głównie dlatego, że na naszych oczach i naszymi rękami zaczynamy na uniwersytety wprowadzać największą zmołę – zunifikowany system oceniania.

Krajowe Ramy Kwalifikacji – już swą nazwą wieszczą zagrożenie. Krajowe? Czemu to konstruować ogólnokrajowe ramy czegokolwiek? Kto jest zainteresowany, by formalizować kompetencje uzyskiwane przez studentów na różnych kierunkach? Zainteresowane są dwa środowiska: studenci oraz urzędnicy. Pierwsi, ponieważ uzyskają nominalnie, na papierze, deklaracje, czego się uczą, a jeśli się nie uczą, to będą pozywać uczelnie do sądu, że źle wypełniła swoje zadanie. KRK – będą podobne na uczelni w mieście X i Y, zatem co za różnica, gdzie studiować? Kompetencje uzyskamy analogiczne.

Zyski urzędnika są tu jednak jeszcze większe. Jak bowiem bez KRK ocenić wydajność nauczyciela akademickiego albo wydziału? Dramat. Jak to zmierzyć? Gdzie wyznaczyć współczynnik sukcesu edukacyjnego, jak ocenić kto dobrze, a kto gorzej uczy? Teraz będzie łatwiej, bo sami napiszemy sobie KRK, a potem ktoś przyjdzie z tabelką i zacznie sprawdzać, czy wypełniamy wszystkie punkty, które sami na siebie nakładamy. A co nakładamy? Czy konstruujemy docelowe kwalifikacje absolwenta z myślą o najlepszych czy średnich studentach? Nie trudno przewidzieć, jaki samo istnienie KRK będzie miało wpływ na poziom akademickiej edukacji.

Obecna polityka władz przejawia się w sojuszu ministerstwa ze studentami. Widać to, choćby w forsowaniu biurokratycznych wymogów nakładanych na uczelnie. W samym dbaniu o studentów nie ma nic złego. Lecz traktowanie nauczycieli akademickich jako zło konieczne w tym systemie, jako środowisko marginalne i źle pracujące z zasady, jest haniebne. Nauczyciele akademicki (przynajmniej większość z nas) uczą, by dobrze nauczyć, by nasi studenci wiedzieli więcej, by potrafili więcej, by byli w przyszłości lepsi od nas! Robimy to dla studentów, a nie dla tabelki, w której ktoś sprawdzi naszą wydajność zawodową. To samo dotyczy nauczycieli szkolnych – tych prawdziwych, etosowych. Czy uczą, bo lubią szkolny hałas, średnie pensje, niezadowolonych rodziców? Zapewne myślą też o rzeczach wzniosłych, jak przyszłość swoich uczniów, a naszych dzieci.

Czy można zaradzić najczarniejszemu scenariuszowi? Nie wiem, czy jest to wykonalne. Z pewnością wymagałoby podjęcia bardzo dużego wysiłku wspólnego, by wpłynąć na władze, z definicji słuchające głosu urzędników. Co można postulować, by ratować poziom

kształcenia w Polsce? Zaczynając od naszego podwórka.

Walczyć do upadłego o autonomię pracowników naukowych w ocenianiu studentów. Każde działanie normujące zasady, kryteria itd., a mające zastosowania dla całego instytutu, wydziału, uczelni lub kraju pozbawi nas realnej możliwości oceny studentów.

Dążyć do przywrócenia egzaminów na studia, byśmy uzyskali realną możliwość selekcji kandydatów. Tak, nawet w dobie nizu demograficznego, zapewne warto. Dobra uczelnia bronić się winna swym poziomem i prestiżem.

Postulować odejście od zunifikowanych egzaminów maturalnych. Tendencja, by wszystkim mierzyć tą samą miarą jest zabójcza dla poziomu kształcenia. Za jakiś czas, ktoś będzie postulował wspólną maturę europejską, a zostanie ona przykrojona nie z myślą o uczniach Eaton, lecz o najsłabszych uczniach w zacofanych krajach Europy, którzy przecież nie mogą wypaść gorzej niż ci najlepsi!

W nauce rację ma tylko ten, kto ją ma, a nie ten, kto ma więcej głosów



Na naszych oczach i naszymi rękami zaczynamy na uniwersytety wprowadzać największą zmołę – Krajowe Ramy Kwalifikacji. Już swą nazwą wieszczą zagrożenie. Krajowe? Czemu to konstruować ogólnokrajowe ramy czegokolwiek?

PRAWNICY W NAMIOCIE

Prof. Łukasz Turski z PAN pytany o to, co dzieje się w Europie odpowiedział:

W rankingach uczelnie europejskie spadają na łeb na szyję – poza tymi z Wielkiej Brytanii i dwoma szwajcarskimi. Stary Kontynent przestaje się liczyć w świecie edukacyjnym. Dramatem jest to, co dzieje się we Włoszech. Na rzymskim uniwersytecie La Sapienza Wydział Prawa jest już tak ogromny, że studentów trzeba przeganiać do namiotu rozstawionego w palmowym gaju.

Znieść w Polsce maturę,
Onet.pl, dostęp: 9 października 2012

SZKODLIWY ANGIELSKI

Prof. Karol Modzelewski pytany o indeksy cytowań odpowiedział:

Założenie, że liczba cytowań świadczy o jakości, a jedno cytowanie jest warte tyle samo, ile każde inne, wynika chyba z wiary, że ilość przechodzi w jakość. Myśmy to już przerabiali w PRL. (...) Mentalność technokratyczna wymaga, żeby wszystko sprowadzić do liczydeł, rzecz jasna elektronicznych. Klik – mamy ocenę, i to liczbową, czyli „obiektywną”. To ślepa uliczka, która może się podobać tylko biurokratom albo ideologom biznesu.

Nauki humanistyczne w krajach takich, jak Polska, Węgry, Czechy czy Finlandia, zawsze będą w ogonie cytowań. Bo bazy danych, na podstawie których się je zestawia, są anglojęzyczne. W czasopiśmie, które wchodzi do tej bazy, nikt nie zna polskiego, więc nie cytuje polskojęzycznych prac. Niech sobie piszą po angielsku fizycy albo medycy, bo to nie szkodzi ich dyscyplinie. Humanistyce szkodzi, bo to jest cios wymierzony w jej najważniejszą misję, jaką jest komunikacja z wykształconą, ambitną intelektualnie publicznością własnego kraju.

Nauka to nie biznes,
„Gazeta Wyborcza”, 2 października 2012

SPOŁECZEŃSTWO WYROBNIKÓW

Prof. Marcin Król, były dziekan WSNiR UW napisał:

Czy chcemy być potęgą intelektualną i naukową – a to oznacza wielkie inwestycje w naukę i przede wszystkim w humanistykę – czy raczej społeczeństwem wyrobników, a to oznacza popieranie kierunków wdrożeniowych? Wdrożenia z założenia nie są innowacyjne, o czym zapominają uczeni, a właściwie administratorzy nauki (także w Brukseli, a do absurdu doszli Słowacy, którzy kasują na uniwersytetach kierunki humanistyczne, ale to tradycyjnie kraj rzemieślników, więc może im z tym lepiej).

Wola polityczna,
„Wprost”, 22 października 2012

DRUGA ALBANIA

Prof. Romana Kolarzowa z Uniwersytetu Rzeszowskiego napisała:

Porozmawiajmy, bośmy już z tą debatą diabelnie spóźnieni, a nikt jej za nas nie odrobi, o kondycji oraz funkcjach nauki w krajach peryferyjnych (...). Zacząć by trzeba od rozpoznania, jak też nauka polska sytuuje się w porównaniu z krajami, które mają zbliżony status kulturowy (są zależne od wzorców zewnętrznych) oraz zbliżone warunki infrastrukturalne. Słowem: jak się w tej materii mamy nie do USA czy Wielkiej Brytanii, ale do np. Albanii, Bułgarii, Egiptu.

(...) Opowieści o tym, że czas najwyższy zacząć się ścigać ze Stanfordinem czy Princetonem, dawno już przestały być naiwną śmiesznością. W randze programu naprawczego stają się groźne. Są świadectwem głębokiego odrealnienia snujących te mrzonki, jako że ci fanataści najwyraźniej nie mają pojęcia, jakie są realia tych, których zamierzają doganiać.

Podkuwanie żaby,
Polityka.pl, dostęp: 25 września

KULTUROWE SZALEŃSTWO

Na podobny temat wypowiedział się też dr Marek Węcowski z IH UW:

Można sugerować polskim humanistom publikowanie tekstów naukowych przede wszystkim w języku angielskim. (...) To jednak nie zmieniłoby wiele, bo Polska to chyba jedyny tak wielki „zachodni” rynek naukowy i kulturalny, którego język literacki nie należy do wielkich języków literatury światowej. Tymczasem ogromną część badań humanistycznych na całym świecie stanowią różnego rodzaju badania literackie. (...) Otóż „międzynarodowa” humanistyka obejmuje dzieła literackie polskiej kultury jedynie marginalnie. Publikujący po angielsku polski humanista zajmujący się kulturą rodzimą (a w każdym kraju świata tak działa duża część humanistyki akademickiej), ma niewielkie szanse wejść do międzynarodowego obiegu naukowego.

Czy to źle, czy dobrze? Ani jedno, ani drugie. To fakt historyczny, którego żadnym dekretem urzędniczym zmienić się nie da. A próba jego zmiany byłaby na dłuższą metę kulturowym szaleństwem. Czy mamy przestać badać Mickiewicza tylko dlatego, że „uzbieramy” w ten sposób mniej cytowań, niż pracując nad poezją Byrona?

Mickiewicz kontra Byron, czyli nieznosna lekkość diagnoz,
Polityka.pl, dostęp: 10 października 2012

Pewien poseł chciałby zlikwidować kilka(-dziesiąt?) kierunków studiów. Prezydent miasta używa dentystrycznych porównań, żeby opisać jak bezpieczne będzie metro, którym kiedyś można będzie jeździć z Powiśla, a dziekan Wydziału Neofilologii przemawia – rymując. Przecież gdzieś trzeba o tym napisać! To może tutaj?

ŻEBY NIE BYŁO NICZEGO

Mniej więcej dwa miesiące temu jeden z posłów zaproponował cięcie kierunków studiów. Faktycznie jest ich sporo, u nas obecnie ponad 200, a przecież do tego dochodzą jeszcze specjalności.

Pomysł był taki „Likwidacja studiów kończących się -ologia, możliwość studiowania kierunków <ologicznych> powinna oczywiście pozostać, ale wyłącznie jako studiów uzupełniających, zaocznie lub wieczorowo” – grzmiał poseł (źródło NaTemat.pl). Nie byłoby więc wielu kierunków humanistycznych – filologii, politologii, socjologii, psychologii, ale również wywołałoby to spustoszenie w kierunkach medycznych: dermatologii, kardiologii czy stomatologii. Może to i lepiej, mniej do zapamiętania, mniej do wyboru. Zamiast kilkudziesięciu lekarzy różnych specjalizacji mógłby przecież być jeden – od wszystkiego! Ani bolący ząb, ani pieprzyk do wycięcia nie powinny stanowić problemu. Dobrze jednak, że weterynaria nie kończy się na -ologia.

Właściwie, czemu nie pójść dalej? Gdyby zostawić na Uniwersytecie same kierunki na „a” byłoby ich tylko siedem. A przecież wiadomo, że siódemka to szczęśliwa liczba.



DOBRZE POWIEDZIANE!

25 października wydziały Lingwistyki Stosowanej oraz Neofilologii miały swoje święto. Właśnie wtedy nastąpiło uroczyste otwarcie ich nowej siedziby, gmachu przy ulicy Dobrej 55. Początkowo impreza miała się odbyć na dachu, bo dach jest duży, jest tam ogród i widać z niego wiele. Jednak ze względu na nienajlepsze warunki pogodowe uroczystość zorganizowano w środku, a konkretnie w największej auli. Sala 1.008 jest niestety mniejsza od ogrodu. Na dachu, na stojąco pewnie zmieściliby się wszyscy chętni, w sali wykładowej, w której przygotowanych było około 200 miejsc (170 siedzisk stałych oraz dostawki), niektórzy zdecydowali się przysiąść na schodkach. – Widać wyraźnie, że planując kolejne inwestycje powinniśmy pomyśleć o większej auli – skomentował prof. Marcin Pałys, rektor UW.

Uroczystość trwała mniej niż godzinę. Przemawiało siedem osób. Był rektor, dwaj dziekani, wiceminister rozwoju regionalnego, podsekretarz stanu z MNiSW, wicemarszałek województwa mazowieckiego, prezydent Warszawy i szefowa pracowni, która przygotowała projekt budynku. Każdy z prelegentów miał równo siedem minut.

Jedni, tak jak prof. Hanna Gronkiewicz-Waltz, postanowili w tym czasie zmieścić więcej niż mogłoby się wydawać. Oprócz ogólnej radości z nowo powstałego gmachu, w przemówieniu znalazły się i obietnice. – Na linii Powiśla powstaje druga linia metra. Chciałam uspokoić wszystkich, którzy będą tu pracować i się uczyć, że te metody wzmacniania, które tam stosujemy są skuteczne. Z plombą pod tunelem to jak z plombą w zębie, prędzej się ząb złamie niż ona wypadnie. Myślę, że pojedziemy tym metrem w 2014 roku – mówiła pani prezydent.

Inni, jak prof. Daria Lipińska-Nałęcz, postanowili mówić nieco krócej. – Jak usłyszałam, że mam mówić siedem minut, to mnie to przeraziło. Wydaje mi się, że moje wystąpienie powinno być w proporcji do naszego wkładu finansowego – przyznała podsekretarz stanu. Budowa powstała głównie dzięki funduszom UE, przeznaczonym na rozwój województwa mazowieckiego. Ponieważ ministerialny wkład w inwestycję był bezcenny, trudno więc wyliczyć, ile powinna otrzymać czasu przy mikrofonie. Wszyscy jednak, na czele z dziekanem Neofilologii, prof. Remigiuszem Foryckim mieli nadzieję na pomoc przy budowie kolejnej części budynku (**drugiego etapu**).

– Chciałbym podziękować byłej pani rektor i obecnemu rektorowi, którzy reprezentują nauki ścisłe, fizykę i chemię, a poparli całym sercem budowę siedziby nauk humanistycznych. Tym samym dzięki nim powstanie tutaj może nie zagłębie, a dolina krzemowa filologii. Mówię oczywiście o **drugim etapie**.

Na ręce pani prof. Darii Nałęcz, której życzę po **drugim etapie**

dużo dłuższego przemówienia, składam podziękowania dla pani minister Barbary Kudryckiej, za dotychczasową, ale i przyszłą owocną współpracę przy Dobrej 55 w **drugim etapie**.

Kieruję także ukłony w stronę pani minister Elżbiety Bieńkowskiej, licząc na ścisłą więź Uniwersytetu z Ministerstwem Rozwoju Regionalnego, również przy **drugim etapie**.

Pani prof. Kuryłowicz szczególnie dziękujemy za młodszą siostrę Biblioteki Uniwersyteckiej. Piękny jest widok starszej siostry, która przegląda się w nowym budynku jak w lustrze i marzy, żeby ta „maluchna” jak najszybciej urosła w **drugim etapie**.

OLGA BASIK

WYNIKI

BIBLIOTEKA W TERABAJTACH

Nie trzeba wyrabiać karty bibliotecznej, wypełniać rewersów, wertować papierowych katalogów, kserować artykułów czy pilnować godzin zamknięcia biblioteki, wystarczy dostęp do internetu i już można przeglądać ogromną bazę książek oraz czasopism, które są wydawane przez największe światowe wydawnictwa naukowe. Z takiej możliwości mogą korzystać wszyscy, którzy są użytkownikami Wirtualnej Biblioteki Nauki – projektu finansowanego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a koordynowanego przez Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW.

– Jeszcze w latach 90-tych ubiegłego wieku podstawowym nośnikiem wiedzy na całym świecie były papierowe książki oraz czasopisma specjalistyczne przechowywane w pojedynczych egzemplarzach w bibliotekach naukowych, a symbolem technicznego postępu w bibliotece była kserokopiarka – mówi dr Paweł Grochowski z ICM-u, który od samego początku pracuje nad Wirtualną Biblioteką Nauki. Wspomina też, że wielu książek i czasopism w ogóle nie sprowadzano do Polski, a częstą praktyką było przywożenie w bagażu lub przesyłanie pocztą wielu kilogramów odbitek, zdobywanych w czasie pobytów w zagranicznych ośrodkach naukowych. Popularne było również grzecznościowe wysyłanie przez autora egzemplarza swojej publikacji do zaprzyjaźnionych instytucji badawczych.

NEWSY NA WYCIĄGNIĘCIE RĘKI

Zmiany w Polsce zaczęły się w 1996 roku, kiedy to ICM, dzięki dotacji z Komitetu Badań Naukowych, zakupił i udostępnił w sieci internetowej pierwsze w Polsce elektroniczne bazy chemiczne, które zostały zainstalowane na twardych dyskach serwerów sieciowych w centrum. – W tym czasie rozpowszechnione już były bazy abstraktowe na płytach CD, jednak bazy sieciowe oznaczały nową jakość, dzięki jednoczesnej dostępności wielu instytucji i wielu użytkowników, którzy pracowali na dołączonych do sieci zwykłych komputerach, wyposażonych w specjalistyczne oprogramowanie. To były bazy faktograficzne, które nie zawierały artykułów, a jedynie informacje o związkach chemicznych, identyfikowanych przez strukturę chemiczną. Bazy pełnotekstowe pojawiły się chwilę później. Objętość pierwszych baz chemicznych sięgała 50 gigabajtów, a do ich obsługi trzeba było kupić specjalny komputer, przypominający swymi rozmiarami szafę – wyjaśnia dr Grochowski. Aktualizacją baz zajmował się producent, który czerpał nowe dane z około 200 czasopism chemicznych i co kwartał przysyłał je do ICM-u.

WSZYSTKO DLA WSZYSTKICH

– Najważniejszym założeniem Wirtualnej Biblioteki Nauki jest udostępnienie każdemu pracownikowi naukowemu, każdemu studentowi, każdemu członkowi społeczności akademickiej dostępu do jak największej puli światowej literatury badawczej i to na jednakowych zasadach – mówi prof. Marek Niezgódka, dyrektor ICM-u. I dodaje, że natychmiastowy dostęp do bieżących informacji jest warunkiem koniecznym do tego, by uprawiać naukę w sposób konkurencyjny oraz kształcić studentów na najwyższym poziomie.

Użytkownicy wirtualnej bazy, która jest dostępna na stronie www.wbn.edu.pl, mogą korzystać z niemal 6 tys. tytułów czasopism, w tym tak popularnych jak „Nature” i „Science”, a także z około 15 tys. książek nie tylko o tematyce chemicznej, ale także: medycznej, matematycznej, przyrodniczej, inżyniersko-technicznej, ekonomicznej oraz społeczno-humanistycznej. Jak pokazują statystyki, w 2011 roku użytkownicy sieci pobrali około 9 mln artykułów, publikowanych przez tak znaczące wydawnictwa jak np.: Elsevier, Springer czy Wiley-Blackwell. 8 lat wcześniej objętość całej biblioteki znajdującej się na serwerach ICM-u wynosiła 1,5 terabajta, dziś wzrosła do 10 TB.

Obecnie w Wirtualnej Bibliotece Nauki gromadzone są czasopisma oraz książki, ale w niedalekiej przyszłości w jej zasobach będzie można znaleźć materiały uzupełniające. – Baza będzie zawierała nie tylko publikacje, ale też dane źródłowe i inne formy dokumentacji, które się za nimi kryją. Na przykład oprócz artykułu z zakresu biofizyki obliczeniowej, będzie dostępny też program komputerowy, który został użyty do otrzymania wyników zaprezentowanych w tym konkretnym tekście. W ciągu kilku lat te dodatkowe pliki staną się standardowym wyposażeniem bazy – tłumaczy dr Grochowski.

CZYTANIE – GRATIS!

Pracownicy i studenci wszystkich polskich ośrodków naukowych mogą bezpłatnie pobierać



Wirtualna Biblioteka Nauki jest
dostępna na stronie
www.wbn.edu.pl

publikacje z wirtualnej biblioteki. To wszystko jest możliwe dzięki licencjom, zakupionym całkowicie lub częściowo przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego z ewentualnym udziałem tych instytucji. Istnieją tzw. licencje konsorcyjne, które wykupują ośrodki naukowo-badawcze, uczelnie publiczne i niepubliczne, chcące korzystać z bazy książek lub czasopism wydawanych przez konkretne wydawnictwo. Takie licencje są w połowie finansowane przez ministerstwo, za resztę płać zainteresowane instytucje. W 2010 r. pojawiła się druga forma zakupu, tzw. licencja krajowa, w całości finansowana ze środków ministerialnych, która udostępniana jest wszystkim ośrodkom badawczym oraz uczelniom w Polsce. – Niektóre kolekcje wydawnicze czy bazy cytowań, w tym Web of Science, cieszyły się tak dużym zainteresowaniem, że ministerstwo zdecydowało, by wszystkie instytucje akademickie, a co za tym idzie wszyscy ich pracownicy i studenci mogli korzystać z tych zasobów – wyjaśnia dr Grochowski.

WIRTUALNA BIBLIOTEKA W DOMU

Ośrodki naukowo-badawcze, które wykupiły licencje konsorcyjne lub korzystają z licencji krajowych, rejestrują numery IP komputerów, które do nich należą i znajdują się na ich serwerach baz. Jeśli jednak ich dyrektorzy czy rektorzy uczelni wyrażą zgodę, istnieje możliwość, by naukowcy i studenci korzystali z Wirtualnej Biblioteki Nauki z domowych lub mobilnych komputerów. – Taki system funkcjonuje na Uniwersytecie Warszawskim. Siedząc w domu, możemy połączyć się z uczelnią np. poprzez serwery proxy, zostajemy wtedy zidentyfikowani jako użytkownik z UW. Dzięki temu możemy pracować przy własnym biurku i bezpłatnie pobierać potrzebne nam publikacje – dodaje dr Grochowski.

CAŁKIEM NIEŚWIADOMIE

Zdarza się, że niektórzy użytkownicy internetu nie zdają sobie sprawy z tego, że korzy-

stają z Wirtualnej Biblioteki Nauki. – Wystarczy wpisać słowa kluczowe w okienku typowej wyszukiwarki. Po chwili pojawiają się linki, które prowadzą prosto do artykułów oraz książek zgromadzonych w różnych bazach. Klikamy na wybrany link i artykuł się otwiera. A że znajdujemy się na Uniwersytecie i jesteśmy zidentyfikowani z uniwersyteckim numerem IP – dostajemy to, co chcemy, nie wiedząc, że dostęp do publikacji został zakupiony w ramach takiej czy innej licencji i że to jest wirtualna biblioteka – tłumaczy Grzegorz Bakalarski z ICM-u.

KIM JEST E-CZYTELNIK?

Zdaniem dr. Pawła Grochowskiego WBN cieszy się największym zainteresowaniem wśród pracowników naukowych i doktorantów. Za to mniej znana i wykorzystywana jest przez studentów. – Publikacje naukowe szczególnie te z dziedziny nauk ścisłych najczęściej wydawane są po angielsku. Myślę, że bariera językowa bywa jednak przeszkodą dla studentów. Z drugiej strony nie bez znaczenia jest kwestia systemu kształcenia, w którym praktycznie nie wykorzystuje się typowych publikacji naukowych. Student ma notatki, ma też podręczniki akademickie – w większości po polsku – i najczęściej je czyta. Dopiero na studiach doktoranckich studenci intensywnie wykorzystują wirtualną bibliotekę – mówi.

KONKURENCJA DLA DRUKU

Prof. Marek Niezgódka w przejściu od druku do technologii cyfrowej widzi ogromną zmianę nie tylko w sposobie sięgania do treści, ale w całym procesie przygotowania, dystrybucji i upowszechniania publikacji naukowych. – Największe koszty wiążą się z redakcją oraz wydawaniem czasopism i książek, a dzięki udostępnianiu prac badawczych w internecie można w dużym stopniu ograniczyć te wydatki – przekonuje. Dodaje też, że dzięki takim projektom jak WBN polscy badacze oraz adepci nauki mają niczym nieograniczony dostęp do aktualnej wiedzy i to za darmo.

W 2013 roku Interdyscyplinarne Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW będzie świętowało 20-lecie istnienia.

Obchody jubileuszu rozpoczną się 17 grudnia 2012 r. o godz. 15, kiedy to w Pałacu Kazimierzowskim zostanie otwarta wystawa zatytułowana „Od bajtu do petaskali. Komputery ICM w fotografii 1993-2012”, którą będzie można oglądać do 14 stycznia. Uroczystość tę uświetni wykład słynnego niemieckiego matematyka prof. Willi Jägera z Uniwersytetu w Heidelbergu, który będzie mówił o roli modelowania i symulacji matematycznych w rozwoju nauki i technologii. A o nowych modelach matematycznych w kontekście nauk o życiu i medycynie opowie dr Zuzanna Szymańska z ICM-u. Wstęp jest wolny.

ROLA KOBIETY W ZMIENIAJĄCEJ SIĘ JAPONII

Kawaru Nihon no josei no yakuwari

Gościem specjalnym tegorocznych Dni Japonii na UW była prof. Mariko Bandō z Uniwersytetu Żeńskiego Shōwa w Tokio, która wygłosiła wykład na temat roli kobiety w Japonii.

– Od czasów starożytnych japońskie kobiety odznaczały się zaangażowaniem w sprawy polityczne, a także dużą aktywnością twórczą w dziedzinie sztuk pięknych czy literatury – powiedział na początku prelekcji prof. Mariko Bandō. Od wieków pracowały także na roli, a wraz z rozwojem przemysłu w okresie Meiji (1868-1912) były masowo zatrudniane w fabrykach. Z drugiej strony, w roku 1898 w Japonii został formalnie ustanowiony tak zwany system *ie* (dosł. dom, domostwo), który przyznawał pełne prawa głowie rodu, a znacznie ograniczał prawa pozostałych członków rodziny, co przyczyniło się do dużego osłabienia pozycji kobiety. System ten został zniesiony dopiero w 1947 roku, w ramach demokratyzacji Japonii i działań na rzecz wyrównania sytuacji prawnej mężczyzn i kobiet. Z kolei wraz z dynamicznym rozkwitem japońskiej gospodarki, zapoczątkowanym w drugiej połowie lat 50-tych, upowszechnił się model rodziny utrzymywanej z pensji pracownika firmy (zwanego *salaryman*), zaś rola kobiety została ograniczona do prac domowych, wychowywania i edukacji dzieci, a także opieki nad zniechęconymi rodzicami lub teściami.

Powołując się m.in. na wyniki badań opinii społecznej, prof. Bandō zauważa stopniowe zmiany w podejściu do kwestii aktywności zawodowej kobiet, np. w roku 1979 ponad 70% respondentów było zdania, że kobieta powinna zajmować się wyłącznie domem, podczas gdy w roku 2009 już tylko trochę ponad 40% ankietowanych zgodziło się z taką opinią. Prelegentka zwróciła też uwagę na ciekawe i specyficznie japońskie zjawiska, jak choćby wyraźne załamanie we wskaźnikach przyrostu naturalnego w roku 1966. W tradycyjnym kalendarzu związanym ze znakami zodiakalnymi był to rok określany jako *hinoueuma*, rok Ognistego Konia. Kobiety urodzone pod takim znakiem zodiaku były uważane za kłótlive i nieposłuszne, trudno było im znaleźć partnera do zamążpójścia, dlatego też małżonkowie starali się, by ich dzieci nie narodziły się w tym roku. Wprawdzie po roku 1966 tendencja wzrostowa powróciła, jednak od połowy lat 70-tych wskaźnik urodzin stale spada.

Brak odpowiednich udogodnień socjalnych oraz zabezpieczeń prawnych przeciwdziałających zjawisku dyskryminacji kobiet w miejscu pracy (niższe wynagrodzenia, ograniczone możliwości awansu, konieczność rezygnacji z pracy po urodzeniu dziecka) spowodowały, że japońskie kobiety, pragnące realizować się w sferze zawodowej, zaczęły odsuwać w czasie decyzję o zamążpójściu, co doprowadziło do gwałtownego spadku wskaźnika urodzeń (1,39 w 2011 r.) oraz nasilenia się problemu starzenia się społeczeństwa (w 2010 r. ponad 23 % ludności Japonii przekroczyło 65. rok życia).

Sama Mariko Bandō starała się przełamywać ten ukształtowany po wojnie stereotyp kobiety, umiejętnie łącząc wychowanie dwójki dzieci z karierą zawodową. W 1969 roku, a więc tuż po ukończeniu studiów (psychologia) na prestiżowym Uniwersytecie Tokijskim, rozpoczęła pracę w japońskiej administracji centralnej. W roku 1975, ogłoszonym przez ONZ Międzynarodowym Rokiem Kobiet, została członkiem nowo utworzonej w strukturach kancelarii premiera sekcji ds. kobiet, a efektem jej działalności, mimo młodego wieku, było opracowanie pierwszej Białej Księgi w sprawie kobiet (*Fujin no genjō to shisaku*; 1978). Od tego czasu opublikowała ponad 40 książek, z których prawie połowa dotyczy problemów związanych z karierą zawodową kobiet, zarówno w Japonii, jak i Stanach Zjednoczonych. Te ostatnie przemyślenia przedstawione zostały na podstawie badań i obserwacji poczynionych przez nią podczas stażu na Uniwersytecie Harvarda w latach 1980-1981.

W 1995 roku Mariko Bandō została wybrana na stanowisko wicegubernatora prefektury Saitama, co z kolei pozwoliło jej poszerzyć wiedzę i zdobyć doświadczenie w zakresie działalności samorządowej, problemów konsumentów, a także polityki socjalnej wobec młodzieży oraz osób starszych. W 1998 roku została mianowana konsulem generalnym w Brisbane, w Australii, jako pierwsza w Japonii kobieta na tego rodzaju stanowisku.

Po powrocie do kraju w 2001 roku objęła funkcję dyrektora rządowego biura ds. rów-

Dni Japonii

na Uniwersytecie Warszawskim,
zorganizowane w dniach
16-18 października
przez Zakład Japonistyki
i Koreanistyki,
odbyły się po raz szósty.

nego traktowania kobiet i mężczyzn, angażując się w realizację wielu projektów, w tym poprawy polityki socjalnej wobec kobiet, starających się łączyć pracę zawodową z opieką nad małymi dziećmi, czy sformułowanie planu zwiększenia udziału japońskich kobiet w rozmaitych sferach życia społeczno-politycznego do poziomu co najmniej 30% do roku 2020. W czasie jej kadencji uruchomiony został również program pomocy kobietom w Afganistanie.

W 2003 r. Mariko Bandō rozpoczęła karierę akademicką jako wykładowca i dyrektor Instytutu Kultury Kobiety na Uniwersytecie Żeńskim Shōwa w Tokio, a w 2007 roku objęła funkcję rektora tej uczelni. Wydana przez nią w 2006 roku książka *Josei no hinkaku* (*Jak być kobietą z klasą*) osiągnęła status bestsellera na japońskim rynku wydawniczym. Profesor Bandō jest ponadto autorką wielu poradników skierowanych do rodziców (*Oya no hinkaku – Jak być rodzicem z klasą*, 2007), seniorów (*Sabinai ikikata – Jak żyć, by nie zardzewieć*, 2010), a także młodzieży (*Yume o jitsugen suru nanatsu no chikara – Siedem umiejętności, które pozwolą urzeczywistnić marzenia*, 2011). W swoich publikacjach podkreśla, jak ważne znaczenie dla jakości życia może mieć np. znajomość tradycyjnych obrzędów (*Reigi sahō to shikitari – Savoir-vivre i zwyczaje*, 2008), a także uczy, jak przezwycięzać trudności w relacjach społecznych, dzięki umiejętnemu korzystaniu ze specyficznych cech języka japońskiego (*Utsukushii Nihongo no susume – Jak wydobyć piękno języka japońskiego*, 2009). W książce *Nihonjin no bishitsu* (*Zalety Japończyków*), opublikowanej po trzęsieniu ziemi i fali tsunami w rejonie Tōhoku w marcu 2011 wskazuje, jak wiele pozytywnych cech, charakteryzujących naród japoński, w tym samodyscyplina, opanowanie, ofiarność zyskały uznanie w oczach świata. Wysznuła przy tym tezę, że takie aspekty jak np. niezwykła uprzejmość wobec klienta, obowiązująca w sferze usług czy styl życia japońskich seniorów, mogłyby stać się „towarem eksportowym” i elementem japońskiego *soft power*.

W tym roku ich tematem było „Materialne i niematerialne dziedzictwo kulturowe Japonii”. W trakcie obchodów odsłonięta została tablica upamiętniająca wizytę japońskiej pary cesarskiej na UW sprzed dziesięciu lat. Wizyta ta świadczyła o uznaniu zasług najstarszej japonistyki polskiej, której korzenie sięgają 1919 roku, kiedy to Polska i Japonia nawiązały oficjalne stosunki.

W trakcie Dni Japonii można było też posłuchać wystąpień m.in. na temat cesarza Meiji – twórcy nowoczesnej Japonii, staraniach rodziny cesarskiej na rzecz zachowania tradycji jedwabnictwa oraz o japońskiej muzyce i sztuce. Odbyły się także m.in. warsztaty układania ikebany oraz koncert na koto – instrumencie strunowym.

W

ykład prof. Bandō był czwartym wykładem sponsorowanym przez firmę Mitsui & Co., Ltd, który odbył się na Uniwersytecie. Poprzednie wykłady wygłosili pisarze: Noboru Tsujihara i Keiichirō Hirano oraz przedstawiciel Japońskiej Agencji Badań Kosmicznych – Jun'ichirō Kawaguchi.

16

października prof. Marcin Pałys, rektor Uniwersytetu Warszawskiego podpisał też umowę z prof. Bandō o wymianie naukowej między UW a Uniwersytetem Żeńskim Shōwa.

MIĘDZY POP A KULTURĄ, CZYLI SŁOWO O KOMIKSIE

Kadry, plansze, paski, rysunki, „dymki”, dialogi, komentarze narratora to elementy, które tworzą komiks – formę kultury do niedawna traktowaną marginalnie, a nawet pomijaną przez wielu badaczy. Dziś zyskującą coraz większe i werniejsze grono czytelników, a także coraz bardziej docenianą przez literaturoznawców. Jedną z nielicznych osób w Polsce, która naukowo zajmuje się analizą i interpretacją komiksów jest Kamila Tuszyńska, doktorantka w Zakładzie Retoryki i Mediów na Wydziale Polonistyki, która w grudniu będzie broniła pracy doktorskiej dotyczącej strategii narracyjnych w komiksie.

O (PRA)POCZĄTKACH...

Źródeł komiksu można szukać w najdawniejszych czasach. – Dalekimi krewnymi komiksu były prehistoryczne rysunki w jaskiniach, staroegipskie hieroglify, greckie płaskorzeźby czy pismo Majów. Istnieją też dawne formy graficzne, które nieco bardziej przypominają współczesny komiks. XII-wieczne drzwi gnieźnieńskie, wykonane za czasów Mieszka III Starego, są doskonałym przykładem historii obrazkowej prezentowanej w postaci dwóch rzędów obrazów, rozmieszczonych po dziewięć na każdym skrzydle. Jeśli czytamy je od dołu do góry, czyli w porządku pionowym, to jawi się nam opowieść o narodzinach Wojciecha, jego życie i męczeńskiej śmierci. Jeśli odczytujemy te sceny poziomo, to poznajemy drugą historię, w której narodziny Wojciecha dla świata doczesnego łączą się z narodzinami dla nieba – mówi Kamila Tuszyńska.

Prakomiks można również skojarzyć ze znajdującą się w Rzymie kolumną Trajana z 113 r. – To jest kolumna opasana 23 zwojami, które przedstawiają historię wojny z Dakami. Podobnie jak w niektórych komiksach, obecny jest w tej opowieści związek przyczynowo-skutkowy, sekwencja, ale nie pada żadne słowo, tylko sam obraz tworzy historię – wyjaśnia doktorantka.

Wspomina też o XI-wiecznej tkaninie z Bayeux, czyli ręcznie haftowanym płótnie, które przedstawia: podbój Anglii przez Wilhelma I Zdobywcę, bitwę pod Hastings z 1066 r., a także życie codzienne mieszkańców ówczesnej Normandii. Płótno to nadal można podziwiać w muzeum w Bayeux. – Oprócz informacji cennych dla historyków, na tkaninie zilustrowane zostało pojawienie się komety Halleya,

które nastąpiło w tym samym roku co bitwa pod Hastings. Jest to pewnego rodzaju forma udokumentowania zjawiska, które dziś moglibyśmy nagrać – dodaje.

Rozwój komiksu jest silnie związany z rozwojem XIX-wiecznej prasy, ale już po rewolucji francuskiej w gazetach pojawiły się pierwsze, bardziej zaawansowane formy przypominające ten gatunek. Były one popularne wśród mieszkańców Paryża, którzy nie potrafili czytać ani pisać, a chcieli mieć dostęp do informacji oraz komentarzy na temat tego, co się wokół nich dzieje. – W tym momencie uaktywniła się prasa satyryczna i karykaturalna. Z tego okresu pochodzą fantastyczne formy znakomicie oddające charakter nastrojów porewolucyjnych. Jest taki prakomiks, w którym pada pytanie o to, co jest lepsze – wolność francuska czy poddaństwo brytyjskie? Odpowiedzią są dwa rysunki. Na pierwszym z nich znajduje się wychudzony, biedny, literat francuski, który siedzi w zapuszczonym wnętrzu i patrzy na kominek – ten obrazek ilustruje wolność. A po drugiej stronie kadru przedstawiony został tłusty, „zniewolony” Brytyjczyk, który zjada wielkiego prosiaka – opowiada doktorantka.

KOMIKSOWI PREKURSORZY

Większość badaczy jest zgodna, że twórcą pierwszych nowoczesnych komiksów był Rudolf Töpfer, szwajcarski profesor literatury, który tworzył w I połowie XIX w. – Na początku pisał jedynie do szuflady i na pewno nie planował publikowania komiksów. Po prostu się tego wstydził i uważał, że literaturoznawcy to nie przystoi. Jednak za namową swojego przyjaciela Johanna Wolfganga Goethego, wydał pierwszy komiks, który opowiadał o perypetiach, romanсах i zamięłowaniach badacza motyli. Wywołał on prawdziwą furorę wśród czytelników – mówi Kamila Tuszyńska.

Drugim prekursorem tego gatunku był Paul Gustave Doré, ilustrator ponad 200 książek, autor komiksu „Dzieje świętej Rusi” z 1854 r. – To bardzo aktualny i dowcipny komiks, trudno uwierzyć, że powstał tak dawno temu. Cała zabawa polegała tu na jednej z najmocniejszych stron komiksu, czyli na rozdźwięku pomiędzy warstwą obrazową a tym, co dopowiada tekst. Satyryczne obrazki zostały opatrzone przez autora celnymi, demaskatorskimi komentarzami – wyjaśnia doktorantka.

Trzecią postacią, o której należy wspomnieć jest Wilhelm Busch, autor popularnego komiksu „Max und Moritz”, łobuzerskiej historii o dwóch chłopcach, w której po raz pierwszy pojawia się komizm typowy dla satyrycznych komiksów; później wielokrotnie wykorzystywany przez innych autorów.

KADRY NASZPIKOWANE ODNIESIENIAMI

Świat komiksu tworzy zarówno japońska manga, komiks amerykański, jak i powieść graficzna. Z naukowego punktu widzenia, szczególnie interesująca jest ostatnia z tych form. – Autorzy powieści graficznych nie koncentrują się na przygodach superbohaterów w obcisłych koszulkach i rajtuzach, którzy próbują ratować świat. Powieść graficzna wymaga dorosłego czytelnika, który rozumie aluzję, potrafi rozkodować szyfry i odniesienia do innych dzieł literatury i kultury – wyjaśnia Kamila Tuszyńska. Pierwsze wydanie powieści graficznej ukazało się w 1978 r., był to komiks zatytułowany „Umowa z Bogiem” Willi Eisnera. Od tego czasu coraz więcej twórców małego i dużego formatu sięga po tę formę. Jednym z nich jest Daniel Chmielewski, współczesny, polski autor, twórca komiksu pt. „Zostawiając powidok wibrującej czerni”, który odsyła odbiorcę do cyklu obrazów solarystycznych Władysława Strzemińskiego. Malarz uchwycił w tych dziełach powidoki wywołane spojrzeniem na słońce. Chmielewski nawiązuje też do dzieł impresjonistów oraz obrazu „Wieża Babel” Bruegla. W tym komiksie nie pada ani jedno słowo, które może nakierować nas na te dzieła. Tylko od czytelnika zależy czy zrozumie ukryte przesłanie komiksu, czy też nie. – Powieści graficzne sprawiają czytelnikom dużo frajdy. Fascynujące jest to, że przypominają nieustanną szaradę – wyjaśnia doktorantka.

Przepełnione ciekawymi odniesieniami są również prace Milo Manary, włoskiego autora komiksów, który wraz ze swoim przyjacielem Federico Fellinim stworzył „Dwie podróże z Fellinim”, nawiązujące do dzieł tego reżysera, a także komiks „HP i Giuseppe Bergman”, odsyłający do filmów Michelangelo Antonioniego. – Nie da się zrozumieć tych komiksów, nie znając filmów obu reżyserów. Możemy przeczytać komiks, opowieść może nam się spodobać, bo jest cie-

kawa, kreska mniej lub bardziej przypada nam do gustu, natomiast bez konkretnej wiedzy nie odkryjemy drugiego dna tej historii – stwierdza Tuszyńska.

BAJKOWO, SENSACYJNIE I POWAŻNIE

W latach 30-tych XX wieku, w złotym okresie komiksu, założono największe wydawnictwa komiksowe, m.in. amerykański Marvel czy DC Comics, które stały się wytwórniami takich bohaterów jak: Batman, Superman, Spider-man – do dziś porywających i fascynujących małych czytelników. – Dorośli odbiorcy mogli wtedy przebierać w historiach, w których lała się krew, mordobicie było na porządku dziennym, a atrakcyjne kobiety eksponowały atuty i to te niekoniecznie mentalne – opowiada doktorantka. Po II wojnie światowej sytuacja uległa diametralnej zmianie, zakazano wydawania gorszących komiksów. Stworzony został kodeks komiksowy, który nałożył na artystów cenzurę; tematy promujące przemoc czy używki zostały zakazane. – Odtąd miały powstawać grzeczne „powieści pozytywistyczne”. To się jednak nie udało, bo szybko powstał komiksowy *underground*, z cienia zaczęli wychodzić tacy twórcy jak Robert Crumb, który świadomie rysował brzydko, tworząc komiksy dawał upust negatywnym emocjom, a przekaz jego historii był bardzo niepoprawny politycznie – mówi Kamila Tuszyńska.

W Polsce, w tym czasie istniał i rozwijał się tzw. komiks milicyjny oraz komiks dla dzieci. Później coraz częściej zaczął pojawiać się komiks sensacyjny, thriller, komiksowe luźne adaptacje dzieł literackich, a nawet autokomiksy. – Tematyka dzisiejszych komiksów staje się coraz bardziej poważna. Autorów inspirują zagadnienia, które kiedyś były zastrzeżone wyłącznie dla tzw. literatury i kultury wysokiej. Popularne są tematy dotyczące samotności, homoseksualizmu oraz te, które ilustrują życiowe traumy.

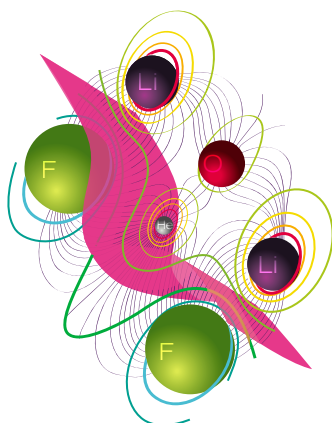
– Komiks opowiadający o Holokauście „Maus. Opowieść ocalałego” Artura Spiegelmana, za który autor otrzymał Nagrodę Pulitzera, był przełomem. Wreszcie sporo osób zaczęło traktować ten gatunek poważnie – podsumowuje doktorantka.



W ŚWIECZEWCE

SCHWYTANY TLENEK HELU

Chemik z UW obliczył właściwości tlenku helu (HeO) schwytanego w pole elektryczne dwóch cząsteczek fluorku litu (LiF). To pozwoliło mu potwierdzić przypuszczenie o możliwości zmuszenia atomu helu do tworzenia wiązań chemicznych.



Obliczone właściwości elektryczne "motylkowej cząsteczki" (HeO)(LiF)₂: linie pola elektrycznego - granatowy; poziomicę potencjału elektrostatycznego - od czerwonego, przez pomarańczowy, żółty, zielony, do jasnoniebieskiego; powierzchnia zerowego potencjału - brązowo-czerwona.

Pierwiastek hel (He) jest klasycznym gazem szlachetnym. Jego atom wykazuje rekordowe wielkości dla wielu właściwości fizykochemicznych. – Mając tylko dwa elektrony na zamkniętej powłoce 1s, hel jest najmniej podatnym, najsłabiej polaryzowalnym, najtrudniejszym do zjonizowania i najbardziej elektroujemnym znanym atomem – opowiada prof. Wojciech Grochala, chemik, kierownik Laboratorium Technologii Nowych Materiałów Funkcjonalnych w Centrum Nowych Technologii UW. – Gazowy hel uważany jest za gaz idealny i używany jako standard ściśłości i ciśnienia. Nasza percepcja pierwiastka helu kształtowana jest przez obrazy bezbarwnego chłodziwa, ultrazimnej i łatwo wrzącej cieczy, która pod ciśnieniem atmosferycznym nie krystalizuje nawet w temperaturze zera bezwzględnego, lecz łatwo zamienia się w gaz uciekający z ziemskiego pola grawitacyjnego.

Hel po zderzeniu się z innym atomem nie ujawnia zainteresowania trwałym związkiem. Zamknięta powłoka elektronowa wokół atomu helu stanowi o jego niereaktywności: nienało-

wane cząsteczki zawierające chemicznie związany hel nie były nigdy zsyntezowane.

Prof. Grochala zajął się teoretycznymi badaniami cząsteczki tlenku helu umieszczonej w środku „ferroelektrycznej wnęki” złożonej z dwóch równoległych dipoli (układ różnoimiennych ładunków) LiF. Przy użyciu metod mechaniki kwantowej chemikowi udało się przewidzieć, że mała cząsteczka (HeO)(LiF)₂ powinna być płaska i zawierać spolaryzowaną grupę He^{δ+}O^{δ-}. – Obliczenia sugerują, że jest ona metastabilna: dystorsje mogące zniszczyć jej integralność powinny być jednak zahamowane w niskich temperaturach. Wszystkie poziomy oscylacyjne znajdują się w lokalnej studni potencjału – mówi prof. Grochala. – Synteza (HeO)(LiF)₂ lub podobnych nienaładowanych cząsteczek przełamałaby mit niereaktywności helu.

Publikacja na temat odkrycia ukazała się w piśmie „Physical Chemistry Chemical Physics”, w zeszycie tematycznym „Predicting New Molecules by Quantum Chemical Methods”.

WYZNACZANIE GRANIC PRECYZJI

Fizycy opracowali teoretyczne podstawy, pozwalające na znalezienie granic precyzji pomiarów, osiągalnych za pomocą stanów splątanych w warunkach eksperymentalnych.

Odkrycia dokonali: dr Rafał Demkowicz-Dobrzański i Jan Kołodyński z Wydziału Fizyki UW oraz Madalin Guta z Uniwersytetu w Nottingham.

Pomiary wykorzystujące interferencje światła są jednymi z najdokładniejszych metod pomiaru w astronomii, telekomunikacji, biologii i medycynie. Te metody pomiarowe stosuje się w detektorach fal grawitacyjnych. W nich, dzięki zjawisku interferencji bardzo silnych wiązek światła, możliwe jest wykrywanie fal o amplitudach mniejszych niż rozmiar protonu.

Czułość interferometrów może być zwiększona dzięki wykorzystaniu specjalnie przygoto-

wanych kwantowych stanów światła. Tu ważną rolę odgrywa splątanie. – Jest ono zjawiskiem unikalnym dla fizyki kwantowej i leży u podłoża takich idei jak: teleportacja kwantowa, kryptografia kwantowa i komputery kwantowe – wyjaśniają dr Rafał Demkowicz-Dobrzański i Jan Kołodyński. – Fotony, będące elementarnymi porcjami energii niesionymi przez światło, przygotowane w stanie splątanim, wykazują bardzo silne korelacje, nieobserwowane w powszechnie dostępnych naturalnych czy sztucznych źródłach światła. Dzięki temu splątane fotony mogą zachowywać się podobnie do fotonów odpowiadających światłu o znacznie krótszej długości

fali, a tym samym umożliwić pomiary o wyższej precyzji.

Autorzy tłumaczą: – Jeśli pomyślimy o pojedynczym fotonie jako o „kwantowej linijce”, której dokładność wynosi np. 1mm, to przygotowując odpowiedni stan splątany 10 fotonów, możemy uzyskać w teorii „linijkę” o podziałce 0,1mm, uzyskując 10-krotną poprawę precyzji. Tyle mówi teoria.

Opracowane właśnie narzędzia teoretyczne do wyznaczenia granic precyzji pomiarów, wykorzystują stany splątane.

Dotychczas w detektorach fal grawitacyjnych były prowadzone badania z zastosowaniem kwantowych stanów światła. Celem tych prac było zwiększenie precyzji. – Jedną z pod-

stawowych praktycznych technik jest wykonywanie interferencji z wykorzystaniem światła w stanie tzw. ściśniętej próżni – opisują fizycy z UW. – Dzięki nowym narzędziom teoretycznym możemy udowodnić, że obecnie stosowany schemat pomiarowy jest optymalny. Można więc śmiało twierdzić, że w dziedzinie detekcji fal grawitacyjnych, jesteśmy blisko osiągnięcia granic precyzji, na jaką pozwalają prawa fizyki kwantowej. Czy pozwoli nam to w końcu wykryć dotychczas nieuchwytnie fale grawitacyjne? Dowiemy się w ciągu najbliższych lat.

Tekst o kwantowych linijkach *The elusive Heisenberg limit in quantum-enhanced metrology* ukazał się we wrześniowym numerze periodyku „Nature Communications”.

ŚWIECĄCE TŁO NIEBA

Zagadkowe świecenie tła nieba próbują rozwikłać przy pomocy Kosmicznego Teleskopu Spitzera obserwatorzy z grupy prof. Asanthi Cooray’a z Uniwersytetu Kalifornijskiego, a wśród nich – astronom z UW.

Słabe świecenie najprawdopodobniej powodują gwiazdy wyrwane z galaktyk i wyrzucone poza ich obszar (zjawiska te występowały podczas zderzeń galaktyk we wczesnym Wszechświecie). Do takiego wniosku doszła grupa badawcza prof. Asanthi Cooray’a z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Irvine. Należy do niej dr Szymon Kozłowski z Obserwatorium Astronomicznego UW.

Wcześniejsze prace grupy prof. Alexandra Kashlinsky’ego z Centrum Lotów Kosmicznych Goddarda (NASA) dowodziły, że światło, które na zdjęciach z teleskopu Spitzera wygląda jak plamisty wzór, pochodzi z pierwszych gwiazd i galaktyk, które powstały po Wielkim Wybuchu. Badania zespołu prof. Kashlinsky’ego prowadzone były tym samym teleskopem co w grupie prof. Cooray’a. Ich wyniki jednak się różnią.

– Świecenie tła nieba w podczerwieni jest wielką zagadką – mówi profesor Asantha Cooray. – Mamy nowe dowody na to, że światło to pochodzi od gwiazd znajdujących się pomiędzy galaktykami. Pojedynczo są one niewidoczne, ale uważamy, że duża ich liczba powoduje świecenie tła nieba.

Grupa prof. Cooraya przeanalizowała dane z większego obszaru nieba niż ich poprzednicy. – Nowe dane mają mniejszy zasięg jasności, ale obejmują obszar nieba o powierzchni odpowiadającej 50-ci tarczom Księżyca w pełni, znajdujący się w gwiazdozbiórze Wolarza – opisuje prof. Andrzej Udalski, dyrektor OA UW. – Większy obszar obserwacji pozwolił na dokładniejsze zbadanie tych zagadkowych wzorów w podczerwonym tle nieba. Pole w Wolarzu obserwowane było teleskopem Spitzera przez 250 godzin.

Autorzy twierdzą, że zaobserwowane światło tła nieba jest zbyt jasne, aby mogło pochodzić od pierwszych gwiazd i galaktyk. Uważa się, że we wczesnym Wszechświecie nie było ich tak wiele jak teraz.

– Dane zebrane podczas obserwacji okazały się bardzo przydatne i do innych przedsięwzięć naukowych – ocenia dr Szymon Kozłowski.

Aby ustalić, która z teorii jest poprawna, potrzebne będą dodatkowe badania planowanym Kosmicznym Teleskopem Jamesa Webba.

Rezultaty prac zostały opublikowane w tygodniku „Nature” 25 października.

PRODUKTY Z MATERIAŁU PRZYSZŁOŚCI

Konsorcjum, do którego należy UW, otrzyma dofinansowanie na poszukiwanie innowacyjnych produktów z grafenu, nazywanego materiałem przyszłości.

Uniwersyteckie badania będą dotyczyć grafenowych, generacyjnych czujników przepływu.

Grafen to materiał najbardziej wytrzymały na świecie. Jest formą węgla. Został odkryty w 2004 r. Za to dokonanie Andre Geim i Kostya Novoselov z Uniwersytetu w Manchesterze w 2010 r. odebrali Nagrodę Nobla z fizyki. Grafen mógłby być wykorzystywany w przemyśle kom-

puterowym, elektronicznym, samochodowym i medycznym.

W konkursie „Graf-Tech” Narodowego Centrum Badań i Rozwoju wyróżniono te ośrodki, które zaproponowały innowacyjne zastosowanie grafenu. W programie brały udział konsorcja naukowe, utworzone przez co najmniej jedną instytucję naukową i jednego przedsiębiorcę,

oraz centra naukowo-przemysłowe. UW będzie współpracował z Instytutem Technologii Materiałów Elektronicznych, Przemysłowym Instytutem Automatyki i Pomiarów oraz firmą Aparator Powogaz SA.

Konsorcjum, którego członkiem jest UW, dostanie prawie 5 mln zł. 12 nagrodzonych zespołów otrzyma w sumie ok. 60 mln zł.

NAJWAŻNIEJSZA NAGRODA FNP

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej wyłoniła laureatów nagrody, która cieszy się opinią najważniejszego wyróżnienia naukowego w Polsce. Wśród nich znalazła się prof. Ewa Wipszycka, emerytowany pracownik Instytutu Archeologii UW, która została wyróżniona w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych. Badaczka zajmuje się dziejami Egiptu z okresu rzymskiego i czasów późnoantycznych, a także starożytnym chrześcijaństwem.

Fundacja nagrodziła prof. Wipszycką za wszechstronną rekonstrukcję funkcjonowania wspólnot klasztornych w późnoantycznym Egipcie. W monografii zatytułowanej *Mnisi i wspólnoty monastyczne w Egipcie, wieki IV-VIII*

uczona przedstawia przestrzenną, wspólnotową i ekonomiczną organizację klasztorów położonych nad Nilem, które istniały w pierwszych wiekach chrześcijaństwa.

W tym roku oprócz prof. Ewy Wipszyckiej nagrodę FNP przyznano prof. Krzysztofowi Palczewskiemu, biochemikowi z Case Western Reserve University, prof. Mieczysławowi Mąkoszy, chemikowi z Politechniki Warszawskiej oraz PAN, a także prof. Maciejowi Wojtkowskiemu, fizykowi z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Każdy z laureatów otrzyma 200 tys. zł. Polskie Noble są przyznawane od 1992 roku, grono ich laureatów, wraz z tegorocznymi nagrodzonymi, liczy 76 osób.

LAUREACI „DIAMENTOWEGO GRANTU” DOSTANĄ PRACĘ

Setka najzdolniejszych polskich studentów została nagrodzona w konkursie „Diamentowy Grant”. Prawie jedna czwarta z nich studiuje na UW. Rektor zaproponował im pracę.

Tomasz Edison powiedział kiedyś: – Nie poniosłem porażki, po prostu odkryłem 10 tysięcy błędnych rozwiązań. Młodzi badacze mają szansę odkryć prawidłowe rozwiązania, dzięki dofinansowaniu przyznanemu w konkursie „Diamentowy Grant”. 21 laureatów pochodzi z UW. Nagrodę finansuje Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Została ona wręczona pierwszy raz.

Wyróżniono 100 osób z 35 instytucji naukowych w Polsce. Każdy student otrzyma dofinansowanie w wysokości co najmniej 2,5 tys. zł na miesiąc i do 200 tys. zł na badania.

– Chcielibyśmy każdemu z państwa dać szansę pracy na czas trwania grantu – oznajmił prof. Marcin Pałys, rektor UW podczas spotkania

minister nauki i szkolnictwa wyższego z laureatami na Uniwersytecie. – Każdy z państwa taką propozycję otrzyma i mam nadzieję, że ją przyjmie.

Pomysł z zatrudnieniem laureatów na część etatu spodobał się minister nauki prof. Barbarze Kudryckiej. – Jestem wdzięczna rektorowi, że był tak łaskawy, aby państwa zatrudnić, rozwiązując w ten sposób wiele problemów związanych z państwa przyszłością – przyznała prof. Kudrycka. – Być może przykład władz UW zostanie przyjęty przez władze innych uczelni.

Drugim pod względem liczby przyznanych grantów był Uniwersytet Jagielloński, a trzeci Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.



Już po raz dwunasty Fundacja Tygodnika „Polityka” przyznała stypendia najzdolniejszym naukowcom. Nagrodzono piętnaścioro badaczy, wśród nich znalazło się pięcioro przedstawicieli UW. W tym roku zarząd fundacji „Polityki” zmienił zasady przyznawania stypendiów – nagrody główne w wysokości 30 tys. zł otrzymało pięć osób, natomiast pozostali laureaci zdobyli nagrody finałowe, każda wyniosła 5 tys. zł.

Wśród zdobywców nagród głównych znaleźli się reprezentanci UW: prof. Katarzyna Marciniak z Wydziału „Artes Liberales”, zajmująca się twórczością Cyserona oraz dr Grzegorz Brona z Wydziału Fizyki, interesujący się Wszechświatem, jego budową i procesem powstania.

Do grona laureatów nagród finałowych wybrano przedstawiciela nauk ścisłych – dr. Bartosza Wilczyńskiego z Instytutu Informatyki,

specjalistę w dziedzinie bioinformatyki, zajmującego się mechanizmami produkcji białek przez komórki. Dr Marta Lackowska-Madurowicz, znawczyni zagadnień dotyczących samorządu terytorialnego z Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych, okazała się najlepsza spośród badaczy z zakresu nauk społecznych. W tej samej kategorii został również nagrodzony dr Michał Bojanowski, socjolog zajmujący się sieciami społecznymi, pracownik Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego.

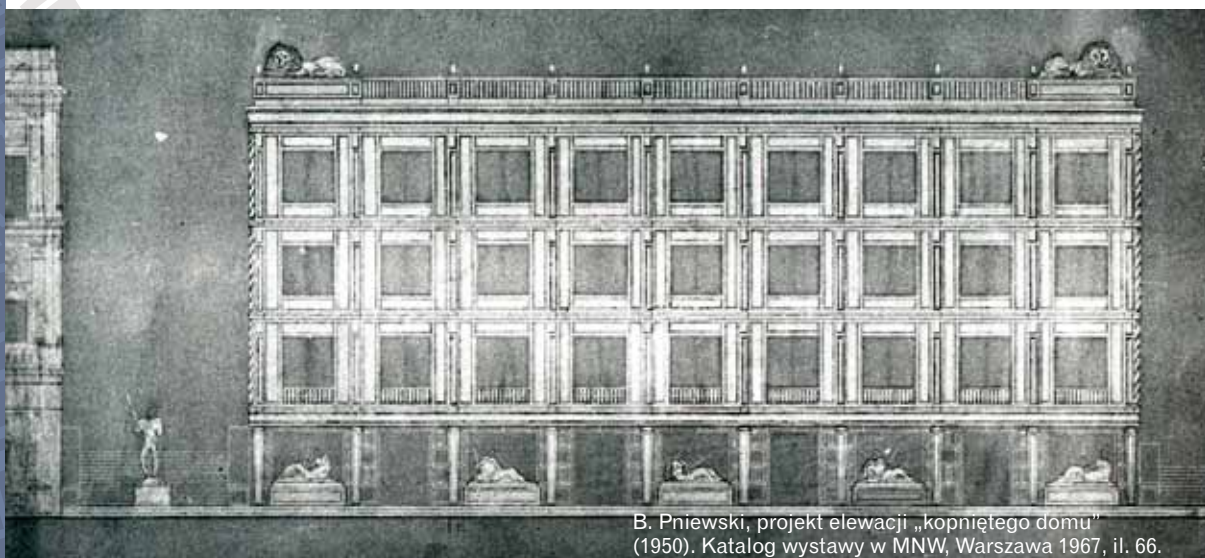
O tym, do kogo trafią stypendia „Polityki” zdecydowały dwie kapituły: profesorska i obywatelska, w których zasiadali m.in. profesorowie: Katarzyna Chałasińska-Macukow, Marcin Pałys, Marek Belka, a także Marek Kondrat i Krzysztof Zanussi.

NOWOCZESNE FINANSOWANIE

44 roczne stypendia dla 22 doktorantów i 22 młodych doktorów zostały przyznane w IV edycji konkursu, organizowanego w ramach programu „Nowoczesny Uniwersytet”. O dofinansowania w wysokości 24 tys. zł mogą ubiegać się wyróżniający się badacze, którzy są u progu kariery naukowej. Najwięcej spośród laureatów tej edycji pochodzi z wydziałów: Filozofii i Socjologii, Biologii, Chemii, a także Matematyki, Informatyki i Mechaniki.

„Nowoczesny Uniwersytet” oferuje również wsparcie w postaci finansowania staży zagranicznych dla młodych doktorów, szkoleń z najnowszych metod nauczania, które przeznaczone są dla nauczycieli akademickich. Z środków tych przyznawane są również subsydia dla profesorów wizytujących, przyjeżdżających na UW z kraju i zagranicy. Program jest finansowany ze środków unijnego programu Kapitał Ludzki, jego budżet wynosi 12 mln zł.

- Badania na temat problemów współczesnej fenomenologii, pożarów w miastach Rzeczypospolitej w XVI-XVIII wieku czy też śladów Holokaustu w imaginariusz kultury polskiej mogą zostać zrealizowane, dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, w ramach **Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki**. W tym roku resort przekazał 89 mln zł na dofinansowanie projektów ważnych dla języka polskiego, literatury, historii i dziedzictwa narodowego. Spośród 540 wniosków, nagrodzono 209, w tym 25 autorstwa badaczy z UW oraz 14 uniwersyteckich koncepcji poświęconych przekładom na języki obce monografiom i publikacjom naukowym. Badania humanistyczne prowadzone na Uniwersytecie zostaną dofinansowane kwotą w wysokości ponad 11,5 mln zł.
- Prof. Krzysztof Wrocławski, emerytowany pracownik Instytutu Sławistyki Zachodniej i Południowej, został członkiem zagranicznym **Macedońskiej Akademii Nauk i Sztuk**. Uczony jest światowej sławy sławistą, nestorem polskiej macedonistyki. Jego dorobek naukowy został już wcześniej doceniony przez macedońską akademię, która przyznała mu odznaczenie im. Blaže Koneskiego za szczególnie wkład w badania z zakresu folklorystyki macedońskiej.
- Oprócz badaczy uhonorowanych prestiżową **Nagrodą Fundacji na rzecz Nauki Polskiej**, zwaną polskim Noblem, wyłoniono również laureatów konkursu popularyzatorskiego, którymi zostali: dr Paweł Rutkowski z Wydziału Polonistyki, autor projektu „Migający mózg”. Zwycięzcą jest również dr Piotr Sułkowski z Wydziału Fizyki, prezentujący projekt „O topologii, strukturach RNA oraz fizyce kwantowej”. Do grona nagrodzonych należy też dr Bartosz Wilczyński z Instytutu Informatyki, który stara się odpowiedzieć na pytanie o to, jak szukać molekularnych mechanizmów zapamiętywania przy pomocy komputera.
- Subsytia na prowadzenie specjalistycznych kwerend archiwistycznych Fundacja przyznała dr. Piotrowi Kociumbasowi z Instytutu Germanistyki, dr Sylwii Kuźmie-Markowskiej z Ośrodka Studiów Amerykańskich oraz dr Elżbiecie Szabat z Instytutu Historycznego. A w programie **Kolumb** stypendia na zagraniczne staże podoktorskie otrzymali dr Krzysztof Krawczyk z Wydziału Chemii oraz dr Paweł Parys z Instytutu Informatyki.



B. Pniewski, projekt elewacji „kopniętego domu” (1950). Katalog wystawy w MNW, Warszawa 1967, il. 66.

MAREK CZAPELSKI

KOPNIĘTY DOM I JEGO AUTOR

Dr Marek Czapelski pracuje w Instytucie Historii Sztuki. Zajmuje się badaniami nad architekturą nowoczesną, szczególnie pierwszej połowy XX wieku oraz doby PRL. W 2008 r. nakładem WUW ukazała się jego książka poświęcona Bohdanowi Pniewskiemu.

„Kopnięty dom” to potoczne miano trzypiętrowego biurowca Ministerstwa Obrony Narodowej, znajdującego się naprzeciwko pałacu Tyszkiewiczów-Potockich, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Królewskiej. Osobliwe usytuowanie budynku, cofniętego wyraźnie za linię zabudowy Krakowskiego Przedmieścia, wydawać się może dziś trudnym do wytłumaczenia kaprysem architekta – Bohdana Pniewskiego. Tymczasem jest to utrwalone w przestrzeni miasta świadectwo powojennych, pogmatwanych dziejów architektonicznego opracowania Osi Saskiej, zmieniających się kilkadziesiąt lat temu koncepcji i odwlekanych decyzji.

Zajęcie w 1945 r. przez MON budynków w okolicach ówczesnego placu Saskiego było kontynuacją trwającej od XIX w. militarnej tradycji tej okolicy – od czasów carskich wojsko rezydowało w pałacu Saskim. Do czasu odzyskania niepodległości między placem Saskim a Krakowskim Przedmieściem wzniesiono budynek sztabu Warszawskiego Okręgu Wojskowego (późniejsze Sądy Wojskowe) i Komendę Miasta. Ten ostatni gmach rozbudowano w dwudziestolecie międzywojennym, z tego okresu największą inwestycją był jednak dom oficerski Funduszu Kwaterunku Wojskowego („Dom bez Kantów”; pisaliśmy o nim w poprzednim numerze „UW” – przyp. red.). Okolicę tę wciąż jednak uważano za planistycznie zaniedbaną – do wybuchu II wojny światowej, mimo dwukrotnych konkursów (rozstrzygniętych w 1927 i 1935), nie udało się dokonać regulacji placu Saskiego (od 1928 r. do 1940 r. Marszałka Józefa Piłsudskiego).

Przestrzenne uporządkowanie przejętych przez MON terenów przynieść miał rozpisany w 1947 r. konkurs na „regulację placu Zwycięstwa, terenów Osi Saskiej i szkicowy projekt Domu Wojska Polskiego”. Historyczna osiemnastowieczna oś urbanistyczna miała być kanwą dla rozplanowania zespołu budynków, które miały stanąć od ulicy Chłodnej po Krakowskie Przedmieście. Ta „wojskowa dzielnica” obyć się miała bez pałacu Saskiego, z którego odbudowy zrezygnowano, pozostawiając jedynie najważniejsze symboliczne miejsce na Osi – ocalały Grób Nieznanego Żołnierza. Decyzją jury, rozplanowanie ogromnego terenu podzielono między dwóch zwycięzców – najbardziej reprezentacyjną część wschodnią Osi wraz z placem Zwycięstwa dano do opracowania Bohdanowi Pniewskiemu, zachodnią część zaś Romualdowi Guttowi.

Jedną z idei konkursu było przedłużenie i otwarcie Osi Saskiej na wschód, ku skarpie Wiślanej. Oznaczało to zupełne przekształcenie fragmentu Krakowskiego Przedmieścia – między kościołem Wizytek a hotelem Bristol powstać miał (w miejscu zrujnowanych kamienic) niewielki reprezentacyjny plac. W konkursowym projekcie Pniewskiego główne akcenty placu stanowiła wolno stojąca kolumnada – eksedra z pomnikiem, zamykająca perspektywę od strony placu Zwycięstwa oraz pylony na skraju Skarpy, skąd ku Powiślu wiodły monumentalne schody, nakrywające ślimak na Karowej.

Nowy plac wzbogacać miał Oś Saską nie tylko przestrzennie, ale i symbolicznie. Już po

rozstrzygnięciu konkursu miejsce to wskazała Naczelną Radę Odbudowy jako najlepsze do wzniesienia planowanego pomnika „Bojownikom Warszawy”, zwanego także „Bojownikom o Wolność i Demokrację” (idea budowy tego pomnika, początkowo mającego czcić Powstańców Warszawy, została porzucona już w 1945 r.). Swoim opracowaniem Pniewski zdawał się zatem antycypować podejmowane decyzje. W kolejnych latach, aż do 1952 r., jego pracownia wykonywała kolejne studia placu.

I właśnie trwająca kilka lat nadzieja na realizację tego uroczystego wnętrza urbanistycznego zapewne zaważyła na usytuowaniu nowego budynku na rogu ulicy Królewskiej i Krakowskiego Przedmieścia. Odsunięty od ulicy Królewskiej dom poprzedzał 6,5-metrowy szerokości taras, otwierając przechodniom widok na plac Bojowników. Podobnie widok na plac z perspektywy Krakowskiego Przedmieścia ułatwiała lekkie cofnięcie – „kopnięcie” nowego domu.

Oczywiście te decyzje projektowe były także demonstracją modernistycznych przekonań estetycznych architekta, odseparowaniem budynku, podkreślającego dystans między nowoczesnym dziełem a zabytkową zabudową okolicy. Stało się to zresztą od razu powodem krytyki środowisk konserwatorskich, przede wszystkim Jana Zachwatowicza, mającego za złe burzenie historycznej linii zabudowy i krytykującego niepraktyczny taras.

Mimo tych oporów, w 1949 r. wzniesiono w stanie surowym biurowiec wraz z tarasem. Tymczasem przez następne lata decyzja w sprawie placu Bojowników nie zapadała – pracownia Pniewskiego opracowywała kolejne szkice do 1952 r. Bodaj ostatni raz o placu wspominał w 1955 r. Józef Sigalin, Naczelnny Architekt Warszawy, w notatce dla Bolesława Bieruta, poświęconej niezrealizowanym pomnikom. Faktycznie o rezygnacji z pomnika zadecydowano wcześniej – decyzją Biura Politycznego w 1953 r. nakazano zwięźenie tarasu przy ul. Królewskiej – w tym okaleczonym kształcie istnieje on do dziś, niczemu nie służy, wejście nań jest zagrodzone.

Zaniechania w realizacji Osi Saskiej odebrały zatem, w znacznym stopniu, usytuowaniu „kopniętego domu” urbanistyczny sens. Do dziś jednak interesującym elementem pozostają elewacje budynku – ich opracowany w 1948 r. projekt Pniewski musiał poprawić dwa lata później – spiralne kolumny w narożu, inspirowane pałacem Dożów, przypominają o życiowej fascynacji Pniewskiego architekturą Wenecji, zarazem pokazując, jak wzbogacając detal architektoniczny, usiłował on obłąskawić socrealistyczną krytykę. Zresztą także i program dekoracji nie został w pełni zrealizowany – nie powstały planowane rzeźby, które stałyby przed budynkiem od strony Krakowskiego Przedmieścia. Sylweta budynku jest dodatkowo zniekształcona usunięciem attyki, uszkodzonej przez wicher w 1998 r.

Niewątpliwie, przerwanie prac nad Osią Saską było porażką Bohdana Pniewskiego (1897-1965), który mimo to był jednym z najsłynniejszych polskich architektów XX w. Należał do pierwszego pokolenia wychowanków Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej (gdzie później był profesorem). Rozgłos i wysoką pozycję zawodową osiągnął u progu lat trzydziestych, kiedy to zwyciężył w konkursie na projekt Świątyni Opatrzności Bożej na Polu Mokotowskim. Do najbardziej znanych międzywojennych dzieł Pniewskiego należał gmach Sądów Grodzkich na Lesznie oraz przebudowa pałacu Brühla dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych i willa własna przy al. Na Skarpie (obecnie Muzeum Ziemi). Wybuch wojny przerwał przygotowania do budowy jego najbardziej prestiżowych projektów – Świątyni Opatrzności, nowej siedziby Polskiego Radia przy pl. Unii Lubelskiej w Warszawie oraz Bazyliki Morskiej w Gdyni.

Choć architekt do 1939 r. był blisko związany z obozem sanacyjnym (w donosie z lat 50. określono Pniewskiego jako „nadwornego architekta Becka”), nie przeszkodziło mu to w kontynuowaniu kariery w Polsce Ludowej. Jego talent i umiejętności zawodowe imponowały także ludziom nowej władzy: Bolesławowi Bierutowi (mówiono, że Pniewski był z nim po imieniu), Marianowi Spychalskiemu (który nb. był jurorem w konkursie na Oś Saską). Pniewski projektował najbardziej prestiżowe gmachy w stolicy: rozbudowane Sejm i Teatr Wielki, nowe monumentalne siedziby Ministerstwa Komunikacji przy ul. Chałubińskiego i Narodowego Banku Polskiego przy ul. Świętokrzyskiej oraz Dom Chłopa przy pl. Powstańców Warszawy. Jednak sukces ten miał swoją cenę. Zmienna wola polityczna i kapryśność władz epoki stalinowskiej oraz przeszacowanie inwestycyjnych możliwości państwa sprawiły, że część z nich nie otrzymała kształtu w pełni zamierzonego przez architekta – zaniechano dokończenia zespołu budynków sejmowych z planowanym placem zgromadzeń od strony ulicy Frascati, zaś wielokrotnie przeprojektowywany gmach NBP (pierwsza wersja – 1947 r.) wznoszono niemal trzydzieści lat.

Idea „kopniętego domu” zrodzona była z przekonania o uprzywilejowanym znaczeniu Osi Saskiej wobec zabudowy ciągu Zamek – Belweder. Pniewski wypowiadał się kategorycznie: „O ile zabytki drugorzędnej wartości przeszkadzają dobremu rozwiązaniu całego założenia, to z takimi zabytkami nie należy się liczyć”; pod budowę jego biurowca rozebrano kamienicę Karola Beyera z drugiej połowy XIX w. Dziś to „kopnięty dom” jest może charakterystycznym, lecz właśnie nie pierwszorzędnym elementem zabudowy Krakowskiego Przedmieścia, architektonicznie ukształtowanego znacznie bardziej wyraziście niż Oś Saską.

„Kopnięty dom”
jest może
charakterystycznym,
lecz nie
pierwszorzędnym
elementem zabudowy
Krakowskiego
Przedmieścia

STANISŁAW TURSKI
REKTOR NA LAT SIEDEMNAŚCIE

Urodził się w Sosnowcu w 1906 r. W tym mieście mieszkał przez ponad 20 lat i tu skończył renomowane gimnazjum im. S. Staszica. Z miastem był związany uczuciowo i pewnie dlatego na tego-rocznej wystawie pt. „Pochodzili z Sosnowca”, zorganizowanej w tamtejszym Muzeum, Stanisław Turski był jednym z 21 sosnowieckich bohaterów.

Jeszcze jako licealista zaczął swą pierwszą pracę zawodową – został korektorem w lokalnym piśmie „Górnik”. Potem awansował na redaktora w niskonakładowym „Filomacie”. Był rzutki i energiczny, potrafił łączyć działalność społeczno-pedagogiczną z nauką. W 1928 r. podjął studia fizyczne i astronomiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, jednocześnie pracując jako nauczyciel szkolny. Szybko został adiunktem Instytutu Matematyki UJ, współpracował też z Akademią Górniczo-Hutniczą. W 1935 uzyskał stopień doktora za rozprawę *O pewnym uogólnieniu twierdzeń o jednolitości całek równania hiperbolicznego*.

Jego karierę naukową przerwała wojna. O intencjach okupantów Turski przekonał się 6 listopada 1939 r., gdy wraz z grupą 183 naukowców krakowskich został aresztowany i zesłany do hitlerowskich obozów Sachsenhausen, Oranienburg i Dachau. Był stosunkowo młodym naukowcem, więc gehennę obozową przeżył. W 1941 r. po międzynarodowych protestach (między innymi Benito Mussoliniego) został zwolniony jako jeden z ostatnich. Przeżyta groza zniewolenia nie załamała Turskiego. Włączył się w nurt podziemnego nauczania, a jesienią 1944 r. w akcję niesienia pomocy wygnańcom z Warszawy.

Rok później w wyzwolonym i zniszczonym Gdańsku powstawała Politechnika Gdańska, a Turski został jej pracownikiem. W maju 1946 r. otrzymał nominację profesorską i po kilku miesiącach został rektorem nowej uczelni.

W tym czasie poparł nowy obóz władzy. Od samego początku należał do PZPR. W 1947 r. został posłem na Sejm Ustawodawczy, a w 1949 r. awansował na dyrektora Departamentu Studiów Technicznych i Gospodarczych Ministerstwa Oświaty. Awans ten wymusił na Turskim zmianę miejsca zamieszkania – przeniósł się do Warszawy. W stolicy pracował początkowo na poli-

technice, by w 1950 r. przenieść się na Uniwersytet Warszawski. Tu błyskawicznie awansował zostając dziekanem Wydziału Matematyczno-Fizyczno-Chemicznego i profesorem zwyczajnym. W 1952 r. uzyskał nominację na rektora i był nim do 1969 r. – najdłużej w historii UW.

Został zapamiętany jako człowiek bezwzględnie oddany partii. Historyk prof. Jerzy Eisler zaliczył go do osób związanych z Mieczysławem Moczarem. Turski lubił atrybuty władzy. Jako pierwszy rektor miał służbowy samochód, czarną Tatrę wraz z przydzielonym szoferem. Nie każdy mógł wsiąść do służbowego auta, a jeśli już, to tylko w towarzystwie rektora. Mieszkał kilkaset metrów od uczelni, ale lubił do pracy jeździć tym samochodem.

Za jego kilkunastoletniej władzy na UW, powrócono do noszenia tóg i gronostajów. Rozpoczęto wydawanie „Rocznika Uniwersyteckiego”, a w składzie redakcyjnym tego wydawnictwa zasiadał nasz bohater. Na uczelni zakończono powojenne remonty, a akademicka społeczność z dumą mogła przyjmować zagranicznych gości i prezentować odnowiony kampus.

Niestety rektor Stanisław Turski odegrał fatalną rolę w wydarzeniach marcowych w 1968 r. Co prawda, gdy wszystko zaczęło się w dniu 8 marca, rektor był w Mongolii z „bratnią partyjno-rządową wizytą” wizytą, ale gdy powrócił, był bezwolnym wykonawcą dyrektyw Gomułki. Mimo lojalnej wobec władzy postawy, przestał być rektorem rok później.

Nadal jednak wykładał i na emeryturę przeszedł dopiero w 1978 r. Przez ten czas wyrobił sobie markę dobrego matematyka. Był autorem wielu prac z zakresu równań różniczkowych oraz analizy numerycznej. Na Uniwersytecie stworzył Zakład Obliczeń Numerycznych (przekształcony później w Instytut Informatyki), stając się pionierem w tej dziedzinie. Przez 10 lat kierował Grupą Zastosowań Technicznych w Instytucie Matematycznym PAN. Był kierownikiem Warszawskiego Ośrodka Obliczeniowego i prezesem Polskiego Towarzystwa Cybernetycznego. Swe zamiłowania do nauk ścisłych przekazał synom, spośród których jeden – Władysław został profesorem informatyki UW, a drugi – Łukasz jest cenionym profesorem fizyki i członkiem PAN.

Rektor Stanisław Turski zmarł w 1986 r.

ZDARZYŁO SIĘ

W TYM MIESIĄCU

- 1816** 19 listopada car Aleksander I wydał dyplom ustanawiający Królewski Uniwersytet Warszawski z 5 wydziałami: Prawa, Lekarskim, Teologicznym, Filozoficznym oraz Nauk i Sztuk Pięknych. Owe wydziały uwiecznione są w godle uczelni w postaci pięciu gwiazd otaczających orła.
- 1831** 19 listopada po upadku powstania listopadowego, rozkazem władz carskich, Uniwersytet został zamknięty. W ten sposób zakończył się pierwszy, 15-letni etap dziejów uczelni.
- 1862** 25 listopada uroczystie inaugurowała działalność Szkoła Główna. Uczelnia miała cztery wydziały: Lekarski, Prawa i Administracji, Matematyczno-Fizyczny i Filologiczno-Historyczny. Siedzibą władz był gmach A. Coraziego zwany, tak jak uczelnia, Szkołą Główną. Kilka miesięcy później wybuchło powstanie styczniowe. Artykuł na ten temat publikujemy na stronie 44.
- 1915** 2 listopada rektorem odrodzonego Uniwersytetu Warszawskiego mianowano lekarza pediatrę dr. Józefa Brudzińskiego. Kilka dni później rozpoczęto zapisy na studia, a 13 listopada władze opublikowały tymczasowy statut uczelni. Uroczystość otwarcia polskiego Uniwersytetu Warszawskiego, która odbyła się 15 listopada 1915 r. przybrała charakter potężnej manifestacji narodowej.
- 1918** 6 listopada wobec napiętej sytuacji politycznej zajęcia na uczelni zostały zawieszone. 11 listopada po odezwie Akademickiego Komitetu Wykonawczego powstała paramilitarna jednostka złożona ze studentów, nazywana Legią Akademicką. Jej pierwszą siedzibą był dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego. Trzy tygodnie później Legię przeformowano w 36 pułk piechoty, powszechnie nazywany „studenckim wojskiem”.
- 1972** Od listopada obchodzone na Uniwersytecie Warszawskim i na innych uczelniach Międzynarodowy Tydzień Studenta. Koordynatorem tych obchodów było uczelniane koło Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. Dopiero w połowie lat osiemdziesiątych środowisko akademickie naszej uczelni rozpoczęło coroczne obchody Święta UW. Odbywa się ono w listopadzie, ze względu na niezwykle nagromadzenie w tym miesiącu ważnych dat, związanych z historią naszej Alma Mater.

DOBRZE POLICZONE

czyli kilka powodów do świętowania

5 – tyle wydziałów liczył w 1816 roku Uniwersytet Warszawski. Łatwiej na pewno było je zapamiętać, teraz samo wypisanie wszystkich zajmuje ponad pięć linijek, a wymienienie ich jednym tchem, jest prawie niemożliwe, bo trwa pół minuty. Nic dziwnego, w końcu wydziałów jest cztery razy więcej niż 196 lat temu. Od A jak „Artes Liberales” do Z jak Zarządzanie. A w środku są jeszcze: Biologii, Chemii, Dziennikarstwa i Nauk Politycznych, Filozofii i Socjologii, Fizyki, Geografii i Studiów Regionalnych, Geologii, Historyczny, Lingwistyki Stosowanej, Matematyki, Informatyki i Mechaniki, Nauk Ekonomicznych, Neofilologii, Orientalistyczny, Pedagogiczny, Polonistyki, Prawa i Administracji, Psychologii oraz Stosowanych Nauk Społecznych i Resocjalizacji.

1 432 – tylu cudzoziemców studiowało w 2011 roku na naszej uczelni. Ilu studiuje teraz? Na pewno więcej, bo tendencja rosnąca utrzymuje się już od paru lat. Dokładne szacunki będą znane pod koniec roku. Na studia długoterminowe przyjeżdżają na UW głównie osoby z Europy Wschodniej. Wybierają najczęściej stosunki międzynarodowe, europeistykę i ekonomię. Wśród obcokrajowców przyjeżdżających do nas w ramach programu Erasmus najwięcej jest Niemców i Hiszpanów.

6 321 – tyle osób łącznie pracuje na uczelni. UW jest największym pracodawcą na Mazowszu. Samych pracowników naukowych zatrudnia 3278. A pozostali, czyli prawie połowa to m.in. pracownicy administracji i bibliotekarze.

51 803 – studentów jest obecnie na UW. To mniej więcej tyle, ile osób mieszka w Legionowie lub Zawierciu. Kiedy uczelnia rozpoczynała swoją działalność, studiowało tu około 800 osób, czyli mniej niż teraz mamy profesorów. Co roku przybywa około 20 tysięcy nowych uczniów. Wydaje się, że w przyszłości w Polsce będą sami prawnicy i ekonomiści, bo niezmiennie od kilku lat to właśnie te kierunki najczęściej wybierają kandydaci.

361 511,2 m² – ma obecnie łączna powierzchnia 117 uniwersyteckich budynków. To prawie tyle, ile zajęłyby ustawione koło siebie 93 Pałace Kazimierzowskie. Do najmniejszego zmieści się właściwie tylko jedna osoba – to wartownia przy bramie głównej o powierzchni 5 m². Wśród budynków dydaktycznych najmniejszy jest Mały Belwederek, znajdujący się na tyłach Auditorium Maximum – 68 m², a największa jest Biblioteka Uniwersytecka, której powierzchnia wynosi 57 tys. m² (prawie 840 Małych Belwedereków).

„KRONIKA
PAŁACU
KAZIMIEROWSKIEGO
Z 34 OSTATNICH LAT
1812-1846”

Feliksa Pawła
Jarockiego

część 3

P PIĘKNO ARCHITEKTURY, UNIWERSYTECKIE WYKŁADY I ŁZA W OKU

„W 1819 roku sprowadziwszy Prof. Jarocki do Warszawy d. 5 Lutego zakupiony przez Dyрекcyę Oświecenia za 66,000 Złp Gronowicach na Szlasku Gabinet Zoologiczny i nie znalazłszy dla niego w istniejących już gmachach na dziedzińcu Kazimierowskim odpowiedniego lokalu zaproponował Ministrowi, żeby przez podwieszenie na piętro środka rozpoczętego gmachu utworzyć nową salę, która przeznaczona wzdłuż lekką, forsztowaną ścianą dałaby najpiękniejszy lokal na pomieszczenie tego zbioru. – Minister przyjął tę propozycyę i za nadejściem wiosny kazał stosowne porobić zmiany w dalszej budowie owego gmachu; a tym czasem polecił Prof.

Jarockiemu ażeby niezwłocznie przystąpił do rozpakowania i tym czasowego urządzenia przywiezionego gabinetu w salkach na pierwszym i drugim piętrze południowego narożnika Korpusu Kaźmierowskiego. Skoro wiosna zawitała rozpoczął się ruch budownictwa we wszystkich prawie częściach dziedzińca pałacowego. Wspomnianą wyżej bramę kamienną przy ulicy Krakowskie Przedmieście będącą dla odsłonięcia widoku na pałac wraz z przyległemi jej dwoma domkami rozebrano, a w miejsce jej rozwieszono łańcuchy na słupkach. Ślepą, brudną ścianę budowli I go Rocha kosztownym edukacyjnym wytynkowawszy ozdobnie w kolumnadę pomalowano. Rozebrano

JERZY MIZIOŁEK
I HUBERT KOWALSKI

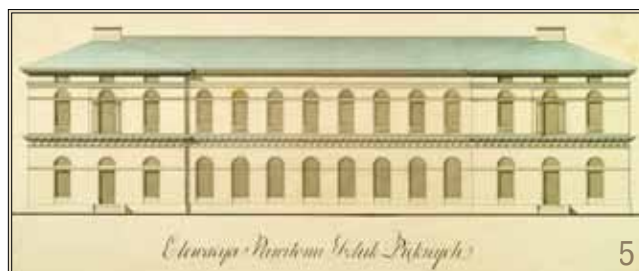
W swym niezwykle syntetycznym opowiadaniu o powstawaniu gmachów uniwersyteckich Jarocki poświęca kilka słów własnej osobie i kierowanemu przez siebie Gabinetowi Zoologicznemu, który szybko stał się jedną z atrakcji Warszawy. O zbiorach gabinetu informują liczne teksty i dokumenty z epoki, które przytacza Józef Bieliński w swej wiekopomnej historii pierwszego Uniwersytetu Warszawskiego. Pomimo zmiennych losów Gabinetu Zoologicznego wiele jego eksponatów przetrwało do dziś i wartych jest monograficznego omówienia.

Ze słów Jarockiego wynika, że obecny budynek Instytutu Historycznego miał w pierwotnej postaci być gmachem parterowym z małymi tylko aneksami na piętrze od strony południowej i północnej. Na prośbę Jarockiego przestrzeń pomiędzy tymi aneksami zabudowano i tak oto powstał budynek jednopiętrowy, który z niewielkimi tylko zmianami, przetrwał do dziś. Miejsce niegdyśszego Gabinetu Zoologicznego zajmuje dziś pełna światła czytelnia Instytutu Historycznego.

Brama uniwersytecka była w ubiegłym roku przedmiotem osobnej wystawy i towarzyszącej jej publikacji. Wystarczy tu zatem tylko słowo

komentarza do odnoszącego się do niej passusu *Kroniki*. Architektura bramy z czasów saskich nie pasowała do klasycyzmu, który charakteryzował wszystkie budynki uniwersyteckie i tych już w 1819 roku wzniesionych, i kolejnych już wówczas zaplanowanych. Ponadto chodziło zapewne i oto, aby to nowe i jakże piękne założenie było dobrze widoczne z Krakowskiego Przedmieścia. Minister wspomniany przez Jarockiego – chodzi o Stanisława Kostkę Potockiego – był wyrafinowanym estetą i wziętym architektem amatorem. Wszystko, co się działo w tamtych latach na terenie kampusu, było bez wątpienia jego zasługą.

I wreszcie w *Kronice* czytamy po raz kolejny o Ogrodzie Botanicznym, jego przenosinach na teren Łazienek Królewskich i przede wszystkim o dwóch kolejnych gmachach uniwersyteckich; jednym – powstałym z przekształcenia dawnego gmachu i drugim – zupełnie nowym. A więc w tymże 1819 roku parter dawnych kuchni królewskich, znajdujących się na północ od Pałacu Kazimierzowskiego, zaadaptowano na laboratorium i audytorium chemiczne, a piętro oddano na mieszkanie wykładowcy tego przedmiotu, profesorowi Adamowi M. Kitajewskiemu.



także ów korytarz, który łączył gmach Kuchni Królewskiej z Korpusem. Dół tegoż gmachu wyreperowawszy urządzono laboratorium i audytorium Chemiczne, a piętro oddano na mieszkanie P. Kitajewskiemu Proff: Chemii. Prof: Schubert celniejsze rośliny przez Prof.: Hofman zasadzone kazał z ogrodu będącego za pałacem wykopać i do nowo na górach przy Łazienkach zakładającego je poprzemnieść. Rozebrano owe drewniane na ulicę Gęstą prowadzące wschody i uzupełnieniem parkanu zupełnie przejście zamknięto. Od strony ulicy Oboźnej w miejsce lichego drewnianego parkanu postawiono mur porządkowy. Skoro mury gmachu Sztuk Pięknych pod dach zostały wzniesione, Minister przez wzgląd na powiek-

szającą się tak raptownie liczbę uczniów Uniwersytetu, że się w salach pierwszego uniwersyteckiego gmachu pomieścić nie mogli, również i na to że Akty Uniwersytetu dla braku odpowiedniego salonu, w Kościele P. P. Wizytek odbywać musiano; kazał ów mały domek do tyłu Pałacu Tyszkiewiczów przytknięty, mурowany dom zburzyć i w tym miejscu w linii z gmachem Sztuk Pięknych podobnego mu kształtu i podobnie zelażną blachą kryty, gmach zbudować, w którym stosownie do objawiających się potrzeb, wielką salę posiedzeń, obszerne sale do prelekcji i odpowiedni lokal na Gabinet Fizyczny zakresłono i gmach ten gmachem fizycznym nazwano”.

1. Audytorium Szkoły Głównej, drzeworyt wg rys. W. Gersona, „Kłosa” 1867 r.
2, 3, 4. Pałac Kazimierzowski i gmach Instytutu Historycznego UW z ok. 1882 r., Archiwum Państwowe m.st. Warszawy.
5. Pawilon Mineralogiczny, pomiar L. Szmidtnera w Zbiorze celniejszych gmachów miasta stołecznego Warszawy, 1823-1824

W związku z jego funkcją nazywano go chemicznym, ale mieściły się tam również pomieszczenia wykorzystywane przez Liceum Warszawskie. Pobierał w nim zatem nauki Fryderyk Chopin – w latach 1823-1826 uczeń Liceum.

Z osobą geniusza fortepianu i wielu wybitnych Polaków tamtych czasów jest związany budynek audytoryjny, który czeka obecnie na gruntowny remont i rewitalizację. Miejmy nadzieję, że nowy właściciel gmachu – Wydział Dziennikarstwa i Nauk Politycznych – zechce pamiętać o tym, że tu wykładali m.in. Józef Elsner, Ludwik Osiński, Fryderyk Skarbek i Kazimierz Brodziński, a ich słuchaczami, obok Chopina, byli m.in. Antoni Edward Odyniec, Aleksander Jełowicki, Julian Fontana i Kazimierz Władysław Wójcicki.

Budynek audytoryjny wzniesiono w latach 1820-1821 jako bliźniaczy w formie do położonego na południe budynku Sztuk Pięknych. Akty, o których pisze Jarocki, to posiedzenia przypominające dzisiejsze obrady Senatu Uniwersytetu; zanim zbudowano omawiany gmach, odbywały się rzeczywiście w kościele Wizytek. Wspomniana przez Jarockiego sala posiedzeń na parterze była świadkiem słynnych niegdyś

sobotnich wykładów Ludwika Osińskiego. Do treściwej, ale nieco suchej relacji Jarockiego warto w tym miejscu dodać wspomnienia innych świadków wydarzeń z tamtych lat. Wspomniany już Wójcicki – znany XIX-wieczny badacz kultury Warszawy – tak pisze o wykładach: „Ludwik Osiński miewał dwie godziny na Uniwersytecie, wykładając kurs literatury powszechnej. Podwórce uniwersytetu w czasie tych prelekcji zapełniało się często karetami i pojazdami. Deklamacja ta wyborna Osińskiego wabiła tak wszystkich, że najzapaleńsi romantycy, jak Antoni Edward Odyniec, przybiegali na tę godzinę”.

A oto słowa Aleksandra Jełowickiego, autora jednego z piękniejszych wspomnień o Uniwersytecie tamtych czasów: „W owej epoce (lata 20-te XIX wieku – przyp. J.M., H.K.) Uniwersytet Warszawski miał przeszło 1200 uczniów, miał liczny księgozbiór, bogate zakłady i wielu dobrych nauczycieli. Wykład literatury polskiej był najświetniejszy, a było do niego dwóch nauczycieli: szumny Osiński i serdeczny Brodziński [...]. Na wykład Brodzińskiego szło się jak do poufatego przyjaciela, a wychodziło się zawsze z sercem rozczulonym i ze łzą w oku”.

Prof. dr hab. Jerzy Miziołek jest dyrektorem Muzeum UW, a dr Hubert Kowalski jego zastępcą.

WYSTAWA NA WYSTAWIE

„Na wystawę sztuk pięknych przybył obraz wystawiający tegoroczną wystawę w perspektywie, przez W. Kasprzyckiego. (...) Jako zbiór obrazów 5tej wystawy zasługuje na uwagę, gdyż obraz ten przypominać będzie wzrost sztuk pięknych w kraju naszym, zwłaszcza iż autor przedsiębiorając wykonać ten szczęśliwy pomysł, umieścił w tym obrazie celujących Artystów w kraju będących” – donosi „Kurier Warszawski” z 14 lipca 1828 roku. Mowa tu o płótnie Wincentego Kasprzyckiego, przedstawiającym trwającą wówczas w Warszawie Wystawę Sztuk Pięknych. W recenzji podkreślono jego funkcję upamiętniającą. Miałby przypominać wydarzenie świadczące o rozkwicie sztuki w Warszawie i czołowych malarzy, należących do tamtejszego środowiska artystycznego. Proponuję inne spojrzenie na dzieło Kasprzyckiego. Czy obraz można postrzegać jako krytyczną wypowiedź na temat artystów z kręgu Szkoły Sztuk Pięknych i ich dzieł oraz samej wystawy?

Ekspozycję można było oglądać pomiędzy 24 maja a 20 lipca 1828 roku na Uniwersytecie Warszawskim. Była ostatnią z wystaw sztuk pięknych organizowanych tam co dwa lata, począwszy od roku 1818. Miały one charakter oficjalnych prezentacji publicznych, a ich głównym celem było pokazywanie osiągnięć uczniów Oddziału Sztuk Pięknych. Wystawom towarzyszyły katalogi dzieł i konkursy w zakresie malarstwa, rzeźby i architektury. Każda kolejna prezentacja obejmowała coraz więcej obiektów. Andrzej Ryszkiewicz podaje, iż w roku 1828 wystawiono ok. 230 dzieł.

W nielicznych współczesnych omówieniach obrazu podkreśla się jego znaczenie „dokumentalne”. Jest on jedynym zachowanym przekazem ikonograficznym, dotyczącym publicznych wystaw sztuki, organizowanych w drugim i trzecim dziesięcioleciu XIX wieku w Warszawie. Zakładana wierność Kasprzyckiego wobec rzeczywistej przestrzeni wystawienniczej i detaliczność przedstawienia pozwalają na zapoznanie się z ówczesnym sposobem budowania i zwiedzania ekspozycji oraz na częściową identyfikację prezentowanych na niej obrazów i biorących w niej udział artystów.

Po pierwsze więc, dowiadujemy się w jaki sposób dostosowano salę uniwersytecką do prezentacji sztuki. Okna są częściowo zasłonięte papierem. Szafy, służące do przechowywania obiektów mineralogicznych, opróżniono. Na

wprost okien stoi drewniana konstrukcja, do której przymocowano obrazy w trzech rzędach. Te umieszczone w rzędzie drugim i trzecim są nieznacznie pochylone ku widzom. Obrazy znajdujące się najwyżej, zostały dodatkowo zabezpieczone linkami zamocowanymi do ściany. Część drewnianej konstrukcji tworzy barierkę odgradzającą prace od publiczności.

Po drugie, możliwa jest identyfikacja niektórych wystawionych obrazów. Próbuje jej dokonać Ryszkiewicz, posługując się katalogiem ekspozycji. Jako pewne podaje rozpoznania dwóch dzieł: *Nadanie dyplomu ustanowienia Uniwersytetu Warszawskiego przez Aleksandra I* autorstwa Antoniego Brodowskiego oraz *Edyp w Kolonos* Antoniego Blanka (widoczne w głębi pomieszczenia). Płótno o treści religijnej umieszczone na dłuższej ścianie to zdaniem badacza *Chrystus przy studni z Samarytanką* Jakuba Lipskiego. Część martwych natur, zaprezentowanych poniżej, rozpoznaje jako prawdopodobne prace Henryki Beyer (pierwsza i druga od lewej). Spośród portretów jeden (szósty od lewej) przypisuje Augustowi Minasowiczowi. Pozostałe obrazy trudno mu jednoznacznie powiązać z tytułami prac zamieszczonymi w katalogu.

Dla rozpoznania strategii wystawienniczej, funkcjonującej w środowisku warszawskim w drugim dziesięcioleciu XIX wieku, problemem znacznie istotniejszym niż identyfikacja poszczególnych prac, wydaje się kryterium według którego zostały zawieszono. Rozmieszczono je według ich „ciężaru” gatunkowego, zgodnie z akademicką hierarchią tematów malarskich. Na bocznej ścianie, w najniższym rzędzie znalazły się pejzaże, powyżej martwe natury i widoki architektoniczne, w trzecim rzędzie portrety i jedno płótno o tematyce religijnej, które swoim rozmiarem wyróżnia się spośród pozostałych obrazów.

Chrystus przy studni z Samarytanką jako dzieło należące do kategorii malarstwa historycznego, czyli takiego które opowiada historie (np. wydarzenia z przeszłości, ale też sceny antyczne, biblijne), zostało tu uhonorowane środkowym miejscem w najwyższym rzędzie. Zastanowienie budzi fakt, że jest to jedyny obraz na ekspozycji pozbawiony ram. Czy płótno dopiero wyszło z malarskiego warsztatu i zabrakło czasu na jego oprawienie, a Kasprzycki jedynie „zanotował” tę sytuację w swojej pracy? Zakładając, że w dziele sztuki nie ma przypadkowych elemen-

tów, wszystko pojawia się w nim z woli autora, twierdząc, iż malarz celowo przedstawił obraz w ten sposób. Jakie znaczenie ma pozbawienie płótna ram? „Odramowanie” dzieła historycznego można uznać za zaprzeczenie wysokiej pozycji gatunku malarstwa, który reprezentuje. W pracy Kasprzyckiego możemy mieć do czynienia z podważeniem akademickiego systemu sztuki i z odwróceniem funkcjonującej w nim hierarchii. To obrazy o niższej randze tematycznej są „gotowe” (obramowane), a więc przeznaczone do oglądania przez publiczność.

Na wystawie widzimy jeszcze dwa duże płótna o tematyce historycznej, wspomniane już: Edyp w Kolonos Blanka i Nadanie dyplomu ustanowienia Uniwersytetu Warszawskiego przez Aleksandra I Brodowskiego. Pierwszy z nich został krzywo zawieszony. I ten zabieg Kasprzyckiego nie wydaje się przypadkowy. Dzięki niemu urasta znaczenie drugiego płótna. Jedynym obrazem historycznym, który został tu zaprezentowany „stosownie” do swojej rangi tematycznej, jest więc dzieło odnoszące się do niedawnych wydarzeń. Dodajmy, wydarzeń istotnych dla samej Szkoły Sztuk Pięknych i organizowanych przez nią wystaw. Czy ekspozycja nie jest tu swojego rodzaju hołdem dla założycieli Uniwersytetu? Być może Kasprzycki pokazuje, iż nie rozwój sztuki, lecz podkreślenie wielkości instytucji było jej celem.

Przyjrzyjmy się teraz publiczności zgromadzonej na wystawie. Można ją podzielić na dwie grupy. Do pierwszej z nich należą m.in.: chłopiec z ojcem studiujący pejzaże, dwie rozmawiające damy, dwóch mężczyzn w mundurach, z których jeden wskazuje na obrazy (w głębi). Postaci te są aktywnymi odbiorcami sztuki. Druga grupa odwiedzających znajduje się bliżej widza, po prawej stronie i na środku pomieszczenia. Ryszkiewicz rozpoznaje w nich konkretnych warszawskich artystów. Są nimi: Aleksander Kokular (w jasnych spodniach, na środku), Antoni Brodowski, stojący przy oknie i Marcin Zaleski, siedzący na krześle obok niego.

Obaj są odwróceniem w kierunku widza. Kolejni to Antoni Blank i prawdopodobnie Rafał Hadziewicz (w głębi, przy szafie), którzy stoją przodem do płaszczyzny obrazu. W prawym dolnym rogu kompozycji widzimy samego Kasprzyckiego, przedstawionego w pozycji siedzącej.

Niektórzy z artystów wydają się spięci. Kokular ściska w rękę papierosnicę. Stojący obok niego mężczyzna, może również malarz, przykładą dłoń do ust (obgryza paznokcie?). Inni, znajdujący się przy oknie mają sztywne, wyprostowane pozy. Wrażenie to wspiera ich staranne ubranie. Jedynie Kasprzycki siedzi swobodnie, zakłada nogę na nogę. Kołnierzyk jego koszuli jest rozchylony, poły marynarki zwisają luźno po bokach krzesła. Zauważmy, że żaden z artystów nie interesuje się wystawionymi pracami. Malarze są wyizolowani z otoczenia, zajęci sobą. Nie uczestniczą w wydarzeniu jako publiczność. Większość z nich jest zwrócona w kierunku płaszczyzny obrazu i przyjmuje postawy jak podczas pozowania do portretu. Wystawa staje się tu miejscem prezentacji nie tylko sztuki, ale też, a może przede wszystkim jej twórców – profesorów i studentów warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

Postawmy się w sytuacji zwiedzającego wystawę, który widzi na niej obraz Kasprzyckiego. Czy ma on wrażenie, że stoi przed lustrem, w którym odbija się ekspozycja? Należałoby je uznać za krzywe zwierciadło, uwydatniające niedostatki zarówno obrazów, jak i ich twórców oraz wyraźnie wskazujące ideę, która stała się podstawą dla zorganizowania wystawy, a która daleka jest od propagowania sztuki. Wzrok widza wędrujący po płaszczyźnie płótna spotyka utkwione w siebie spojrzenie Kasprzyckiego. Malarz staje się w ten sposób łącznikiem pomiędzy publicznością a obrazem, wystawą rzeczywistą a wyobrażoną. Widz może odnieść wrażenie, że artysta nieznacznie się uśmiecha.

¹A. Ryszkiewicz, Wincenty Kasprzycki, Widok wystawy sztuk pięknych w Warszawie w 1828 r., „Biuletyn Historii Sztuki”, 1852, s. 84. ²A. Ryszkiewicz, dz. cyt., s. 87-89. ³Tamże, s. 86-87.

Niektórzy z artystów
wydają się spięci.
Kokular ściska
w rękę papierosnicę.
Stojący obok niego
mężczyzna, może
również malarz,
przykłada dłoń do ust
(obgryza paznokcie?)



BOHATEROWIE MIMO WOLI

150. ROCZNICA OTWARCIA SZKOŁY GŁÓWNEJ

25 listopada 1862 r. w Sali Kolumnowej budynku muzealnego (dziś Instytutu Historycznego) celebrowano otwarcie Szkoły Głównej. Pod taką nazwą przez lat siedem działał Uniwersytet Warszawski.

Czas był to niespokojny; jego apogeum stanowił wybuch i upadek powstania styczniowego. Na rocznicowej wystawie „Album Pamięci Szkoły Głównej” wiele było odniesień do tych dramatycznych wydarzeń. Wśród zdjęć profesorów i studentów Szkoły Głównej znajdziemy niewątpliwych bohaterów, którzy uniesieni patriotycznym zapałem szli w bój z carskim zaborcą. Jednakże ci, którzy wierzyli w zwycięstwo, należeli w Szkole Głównej do mniejszości. Kilka dni przed wybuchem w gmachu Teatrum Anatomicum, należącym do Szkoły, odbyło się głośne zebranie, na którym planowano ustalić, że cała nowo powołana do życia akademii ruszy do partyzanckiej walki. Planowano ustalić, ale nie ustalono, bo większość nie wierzyła, że do zwycięstwa wystarczą same racje moralne. „Było wprawdzie kilku gorętszych, którym zimne słowa rozważki »białych« do przekonania nie przemówiły [...]. Powodowani uczuciem honoru poszli oni przebojem na wywalczenie ideału i nie wrócili!” – pisał Aleksander Kraushar.

Środowisko Szkoły Głównej jednak biernie nie było. Ciesząca się pewną swobodą warszawska uczelnia udostępniała swe gabinety i pracownie na tajne spotkania i konferencje. Profesor medycyny Polikarp Girsztowt pod różnymi pozorami wymyślał się na prowincję i tam tworzył sieć szpitali powstańczych. Pod pretekstem „naukowej wyprawy”, profesor prawa Henryk Wyziński jeździł do Paryża, by tam kontaktować się z obozem patriotycznym. To samo robił, tyle że pod pozorem leczenia, astronom i fizyk Adam Prażmowski, będący w istocie urzędnikiem organizacji narodowej.

Zwykle tak jest, że na rocznicowych wystawach rzadziej pojawiają się ci, którzy bohaterstwem się nie wykazali. A przecież ludzi nieskłonnych do szaleńczego zrywu i do pracy konspiracyjnej, niosącej zazwyczaj potężne ryzyko, było tak naprawdę w każdej epoce niemało. Ich bezbarwne życiorysy nie zapadają tak łatwo w pamięć, a kwiatów na ich grobie się nie składa.

Na wystawie „Album Pamięci Szkoły Głównej” byli także wspomniani ci, którzy zdecydowanie sprzeciwiali się powstaniu, będąc ideologicznie bardzo blisko Aleksandra Wielopol-

skiego. Ale i im życie w ten niespokojny czas spletało figla. Oto na przykład Józef Kowalewski (1801-1878), wybitny filolog, który w Szkole Głównej wykładał historię – akceptował rosyfikacyjną politykę i ani myślał o jakimkolwiek buncie. Miał jednak pecha, bo jego mieszkanie sąsiadowało z lokalem, z którego we wrześniu 1863 r. rzucono bombę na rosyjskiego gubernatora F. Berga. W odwecie rosyjscy żołnierze zdemolowali jego gabinet, niszcząc cenne zbiory. On sam znalazł się na liście podejrzanych i zapewne na czas jakiś utracił carskie zaufanie. Stał się mimowolnym męczennikiem i bohaterem patriotycznej warszawskiej ulicy.

W latach Szkoły Głównej byli też uczeni, którzy nie chcieli mieszać się do polityki. Polityka sama ich jednak dopadła. Na przykład profesor Konstanty Gorski. Był patriotą pochodzącym ze Żmudzi. Podczas swych studiów w Dorpacie w 1845-48 należał do korporacji Polonia. W 1862 r. został profesorem Szkoły Głównej i powierzono mu wykłady zoologii i anatomii. Szefował też gabinetowi zoologicznemu. Utrzymywał kontakty z zagranicą, a jego przyjaciół i nauczycieli, rektor Uniwersytetu Wrocławskiego, Adolph Eduard Grube, wspierał jak mógł polskich patriotów podczas powstania styczniowego.

Sam Gorski jednak na bohatera się nie nadał. Bał się śmiertelnie carskiej policji i żołdaków. Niestety były to ciężkie czasy i Gorski musiał się za kimś opowiedzieć – być zdrajcą albo patriotą. A Gorski patriotą przecież był. Udostępniał więc swój gabinet zoologiczny na tajne obrady Rządu Narodowego. Wiedział, że jego podwładny Benedykt Dybowski konspiruje i przemycza w wypchanych zwierzętach rozkazy powstańcze, ulotki i pieczęcie. Profesor Gorski dzielny nie był, ale był przyzwoity. Nikomu nie powiedział, spiskowcom niczego nie zabronił. Niestety system nerwowy niestarego przecie profesora (ledwie lat 40) nie wytrzymał. Gorski dostał „rozstroju nerwowego i popadł w melancholię”.

Sytuacji nie ułatwiał pewien niecodzienny zbieg okoliczności – Gorski, „odznaczał się niesłychanym podobieństwem do cesarza Napoleona III”. Jak zanotował w swym pamiętniku Julian Wieniawski (brat sławnego skrzypka) nasz profesor zoologii był: „tegoż samego niewielkiego wzrostu i tuszy, tegoż samego owalu twarzy, tego samego koloru bładoniebieskich oczu,

Dr Robert Gawkowski jest pracownikiem Muzeum UW i autorem scenariusza wystawy poświęconej Szkole Głównej; stale współpracuje z naszą redakcją.

tego samego rysunku nosa i ust i zupełnie tegoż koloru włosów. W niczym go odróżnić od Napoleona III nie było można, był bowiem istnym jego sobowtórem”. To podobieństwo do cesarza francuskiego mogłoby być zabawne, gdyby nie fakt, że swą postacią Gorski od razu zwracał uwagę każdego, a policja carska na widok rzekomego cesarza, natychmiast stawiała na baczność.

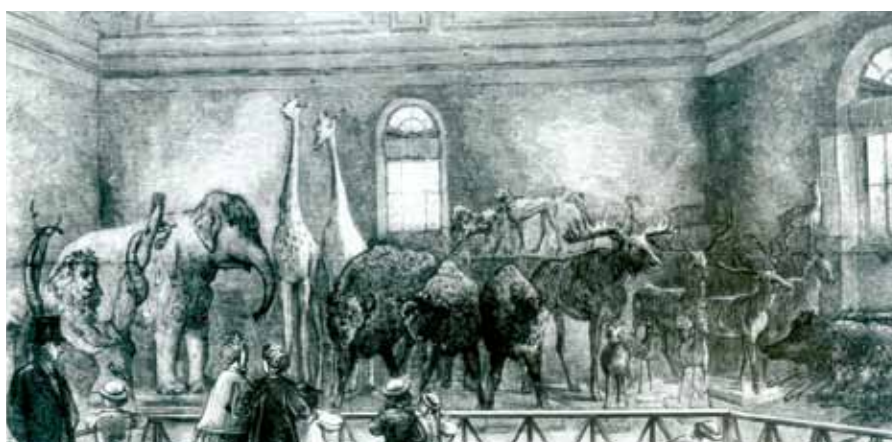
I jak miał się czuć profesor z „rozstrojem nerwowym”, mający wiele do ukrycia, na którego wszyscy zwracali uwagę? Wszak naczelną zasadą każdego konspiratora jest przebywanie w cieniu, a tu działo się coś wręcz przeciwnego! „Melancholia” profesora pogłębiała się tym bardziej, im bardziej powstańczy zryw topiony we krwi

dogasał, a carscy śledczy byli coraz bliżej wykrycia tajnych spotkań w gabinecie zoologicznym. W końcu znerwicowany człowiek nie wytrzymał i popełnił samobójstwo, skacząc z dachu warszawskiego Hotelu Rzymskiego.

Kilka tygodni później żandarmi rosyjscy wkroczyli do tych pomieszczeń Szkoły Głównej, w których przechowywane były powstańcze ulotki i rozkazy. Aresztowano preparatora zwierzęcych okazów Wysockiego, woźnego Tomasza i kierownika pracowni Benedykta Dybowskiego. Śledztwo na Cytadeli było brutalne i może dobrze, że profesor Konstanty Gorski tego już nie doczekał.



Konstanty Gorski,
Muzeum UW.



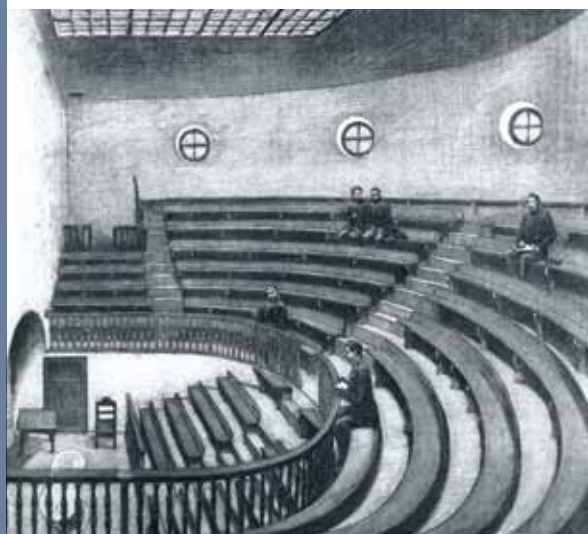
Gabinet Zoologiczny Szkoły Głównej w 1869 r.
Rycina Wojciecha Gersona, „Tygodnik Ilustrowany”.

Wystawa „Album Pamięci Szkoły Głównej” została zorganizowana przy okazji obchodów 150. rocznicy otwarcia Szkoły Głównej. Wszyscy ci, którzy chcieli zapoznać się z tym okresem w historii uczelni bądź odświeżyć swoją pamięć o wydarzeniach tamtych czasów, mieli okazję oglądać ekspozycję od 15 października do 4 listopada w budynku Dawnej Biblioteki Uniwersytetu.

Na wystawie przypomniano o wybitnych wykładowcach i studentach Szkoły Głównej – takich postaciach jak: **Henryk Sienkiewicz, Karol Estreicher, Aleksander Świętochowski czy Bolesław Prus**. Ostatni z nich uważał, że wychowankowie Szkoły Głównej stanowili grupę niezwykłą, należeli do szczególnego pokolenia głoszącego hasło: „nauka to potęga”; szybko też stworzyli piękną legendę swej uczelni i jej charyzmatycznego rektora Józefa Mianowskiego.

Obchodom jubileuszu towarzyszyły wystawy dodatkowe:

- o profesorach Szkoły Głównej, którą zaprezentowano w Bibliotece Uniwersyteckiej;
- o jej architekturze, którą można było oglądać w Instytucie Archeologii;
- oraz wystawa plenerowa o rektorze **Józefie Mianowskim i jego spuściźnie**, która była usytuowana między bramą główną UW a Pałacem Staszica, przy Krakowskim Przedmieściu.



Teatrum Anatomicum, czyli prosektorium Wydziału Lekarskiego Szkoły Głównej przy ul. Zgoda, które istniało do końca XIX w. Rycina Ksawerego Pillatiego, Biblioteka Narodowa.

KONOPACKA TO BYŁA DZAGA

Zdobywczyni pierwszego złotego medalu dla Polski trenowała na korytarzu w akademiku. Reemigrant ze Stanów Zjednoczonych przywiózł na Uniwersytet kije i stworzył liczącą się w Europie drużynę hokeistów. Kazimierz Górski i Michał Listkiewicz pomagali UW budować obiekty sportowe. O tym, jak wyglądały przygotowania do zawodów i same zawody na początku działania Akademickiego Związku Sportowego w Warszawie opowiada Katarzynie Majewskiej dr Robert Gawkowski, historyk sportu.

Dr Robert Gawkowski jest historykiem sportu oraz członkiem Zarządu Towarzystwa Miłośników Historii. Pracuje w Muzeum UW. Był prezesem KU AZS UW w latach 1991-2000. Jest autorem książek, np. *Encyklopedia klubów sportowych Warszawy i jej najbliższych okolic w latach 1918-39, Sport w II Rzeczypospolitej, Wypoczynek w II RP, Kurorty, rekreacja, zabawa*.

Kolejny raz UW zdobywa I miejsce wśród uczelni w Akademickich Mistrzostwach Polski.

To najważniejsze rozgrywki na poziomie studenckim. Od lat mamy I miejsce. To, że wygrywamy jest pochodną tego, że jesteśmy największą uczelnią, ale też efektem pracy AZS i SWFiS UW. Od 10-15 lat coraz więcej sportowców akademickich gra w ligach, które są zapleczem ekstraklasy: piłkarze ręczni, koszykarze, piłkarze halowi, siatkarze; sekcje męskie i damskie.

Mamy pojedynczych zawodników na światowym poziomie. Od lat z dobrego wykształcenia słynie uniwersyteckie judo. Żeglarka Ania Weinzieher brała udział w Igrzyskach Olimpijskich w Londynie. Katarzyna Szotyńska, także żeglarka, ściagała się 4 lata wcześniej na igrzyskach w Pekinie.

Można porównać AMP do jakichś zawodów z początków AZS?

Dawno temu – 24 IX 1916 r. – studenci UW i Politechniki Warszawskiej umówili się, że zorganizują wielki mityng lekkoatletyczny na Agrykoli. Cóż to było za święto! Gwóździem programu był chód maratoński na trasie Grójec – Warszawa. Wystartowało kilku śmiałków. Przed zawodnikami, jako piloci, jechali cykliści. Za sportowcami na wozie konnym wyładowanym sianem jechał profesor medycyny UW Leon Kryński. Miał zabierać tych, którzy po drodze zaniemogli. Świeciło słońce i kilka osób trzeba było zabrać na wóz. UW dostał baty. Pierwszy z naszych był trzeci. Sportowcy z politechniki zajęli czołowe miejsca.

Rok 1916 to czas okupacji niemieckiej. W odróżnieniu od wcześniejszego zaborcy – Rosjan – Niemcy zezwolili na polskojęzyczne uczelnie, ale nie zgodzili się na to, by AZS był wspólną organizacją studentów warszawskich. Dlatego też wspomniane zawody na Agrykoli formalnie organizowały dwa związki: Uniwersytecki Związek Sportowy i Związek Sportowy Słuchaczy Politechniki.

Na strojach zawodników był już wtedy znak AZS – biały gryf na zielonym tle?

Studenci UW występowali wówczas w koszulkach z wielką literą U, a Politechniki – z literą P. Jeszcze wtedy godła AZS nie wymyślono.

Kiedy Polska odzyskała niepodległość, zawodnicy z różnych uczelni mogli się zjednoczyć. W ten sposób powstał AZS Warszawa i zrodziło się zapotrzebowanie na wspólne godło. W 1922 r. z inicjatywy studenta UW Juliana Grunera przeprowadzono konkurs na godło akademickich sportowców. Zwyciężył projekt studenta politechniki Williama Henneberga, przedstawiający białego gryfa na zielonym tle z wpisanymi literami: AZS. Najpierw ten znak był godłem AZS tylko w stolicy, z biegiem czasu zaczęły go używać ośrodki akademickie w całej Polsce. Podobno dziś jest to jeden z najlepiej kojarzonych przez studentów znaków.

Reemigrant zza wielkiej wody przywiózł nam sprzęt do ćwiczeń.

Chłopak, który skończył Harvard, Tadeusz „Ralf” Adamowski zaraz po skończeniu I wojny światowej przyjechał do Warszawy. Jego rodzice byli przyjaciółmi Ignacego Jana Paderewskiego. Ze Stanów Zjednoczonych przywiózł prawdziwe kije hokejowe i ochraniacze. Zaczął nauczać studentów AZS Warszawa hokeja. W 1925 r. akademicy stołeczni byli głównymi współzałożycielami Polskiego Związku Hokeja na Lodzie. Zaraz po tym stali się jedną z najlepszych drużyn w Europie. A dziś chyba nie ma żadnej akademickiej drużyny hokejowej. Szkoda!

Sportowcy walczyli o obiekty do treningów i zawodów?

Politechnika i Uniwersytet miały najwięcej studentów uprawiających sport. Inne uczelnie były mniejsze. Trzeba było wybudować jakiś stadion. Dlatego też z pomocą patrycjatu miasta Warszawy, studenci uzyskali kilka hektarów w parku Skaryszewskim tam, gdzie dziś jest stadion Drukarza. Obiekt otwarto w 1927 r., a uroczystą przemowę wygłosił nasz rektor ks. Antoni Szlagowski.

W początkowych latach działania AZS obok sekcji lekkoatletycznej, piłkarskiej, gimnastycznej i łyżwiarskiej była też sekcja fotograficzna. Dlaczego?

W tamtym czasie sport był traktowany według zasad Pierre'a de Coubertina jako sposób na rozwijanie ciała i umysłu, zgodnie z antyczną maksymą *mens sana in corpore sano* – w zdrowym ciele zdrowy duch. W klubach sportowych mieściły się sekcje artystyczne. Fotografia w wykonaniu AZS miała dokumentować wyczyny sportowców. Wyjście w krótkich spodenkach na arenę było aktem odwagi w ciągle jeszcze konserwatywnym społeczeństwie. Trzeba było zrobić pamiątkę i uwiecznić ten akt.

Do 1948 r. na Igrzyskach Olimpijskich przyznawano medale za sztukę, poezję i śpiew. Do dziś nie wiemy, jak mierzyć te wyróżnienia zdobyte przez artystów. Poeta Kazimierz Wierzyński na Olimpiadzie w 1928 r. zdobył złoty medal za wiersz *Laur olimpijski*. Kilka dni wcześniej taki sam krążek otrzymała Halina Konopacka za rzut dyskiem. Był to pierwszy złoty medal dla Polski, a uzyskała go zawodniczka AZS Warszawa! Sport urosł wtedy do rangi wydarzenia niesłychanego. Prezydent Ignacy Mościcki wysłał do Konopackiej telegram, a cały kraj szalał z radości.

To ona była gwiazdą ówczesnego sportu?

Konopacka była sportsmenką numer jeden, ale potrafiła także grać na pianinie, pisać wiersze, malować, znała 4 czy 5 języków obcych. Miała klasę. Mężczyźni oglądali się za nią. Zaraz po igrzyskach nasza złota medalistka wyszła za mąż za ministra finansów, płk. Ignacego Matuzewskiego. W życiorysie podawała, że studiowała polonistykę na UW, ale nikt z historyków tego nie potwierdził. Nie znaleźliśmy jej dokumentów w uniwersyteckim archiwum. To stanowi poważny znak zapytania dla jej wiarygodności. Na pewno była jednak związana z UW towarzysko.

I jak przygotowywała się do zawodów?

Hal jeszcze nie było. Latem jeździła na stadion do parku Skaryszewskiego. Zimą chodziła do akademika na placu Narutowicza, który dziś należy do Politechniki. Tam szeroki na 4 m korytarz wiedzie dookoła zabudowań akademickich. W środku jest podwórko. Konopacka biegała po korytarzu. Koledzy ustawiali się przy drzwiach, które otwierały się z pokoiów na zewnątrz i pilnowali, by nikt w czasie jej treningu nie wychodził.

Pierwszy medal olimpijski dla Polski pewnie musi być w jakimś muzeum.

Niestety nie. Ten medal zaginął podczas wojennej tułaczki Konopackiej i jej męża. Co najciekawsze, we wrześniu 1939 r. w imieniu rządu Konopacka wywoziła z mężem państwowe złoto i papiery wartościowe z Polski przez Rumunię do Francji. Umiała prowadzić samochód i podobno, gdy jeden z kierowców konwoju został ranny, to ona usiadła za kółkiem. Państwowe złoto uratowała, ale swojego olimpijskiego nie upilnowała.

Dzisiaj odbywają się zawody między klubami AZS. Jak doszło do podziału warszawskiego związku?

W przedwojennym AZS Warszawa nie było rozróżnienia na uczelnie, ale prowadzono statystyki, ile osób wstępowało do związku z poszczególnych szkół. Po wojnie powstawało coraz więcej uczelni. W latach 50. sport był na tyle powszechny, że postanowiono rozgrywać zawody wewnętrzne. Wtedy utworzono wycynowy klub AZS AWF i koła AZS na Politechnice, Akademii Medycznej, SGGW itd. Koło na UW było protoplastą AZS UW. Pod koniec lat 60. nadano mu nazwę Klub Uczelniany AZS UW i tak jest do dziś.

Związki akademickie posługują się tym samym godłem – historycznym gryfem. W czasach stalinowskich wszystkie kluby musiały zmienić nazwę, np. Skrę zamieniono na Budowlanych, Polonię Warszawa przemianowano na Kolejarską, a Legię na CWKS. Skrót AZS pozostał, choć zmieniło się wówczas jego rozwinięcie – Akademickie Zrzeszenie Sportowe. Komunistom wmówiono, że godło AZS jest rewolucyjne, bo gryf nie miał korony. Uratowano skrót i godło.

Podobno ćwierć wieku temu rozgrywano zawody nie tylko dla sportowej rywalizacji?

Na przełomie lat 80. i 90. rozgrywaliśmy mecze piłki nożnej kobiet. Na dziedzińcu głównym ustawialiśmy bramki i malowaliśmy linie. Tego dnia żaden samochód tu nie parkował. Takie małe boisko do futbolu dostarczało sporo wrażeń. Widzów zbierało się kilkuset. Kiedyś wśród zaproszonych gości był Kazimierz Górski, a sędzią był Michał Listkiewicz, który czuł się tu jak u siebie, bo jest absolwentem naszej hungarystyki. Wszystko to odbywało się pod hasłem: Obiekty sportowe dla Uniwersytetu!

Podobnie, od końca lat 80. urządzaliśmy biegi, manifestując to, że nie mamy obiektów sportowych. Organizowaliśmy Miłą Uniwersytecką – bieg dookoła kampusu z okazji Święta UW. Tak było każdego roku, aż do czasu wybudowania hali przy ul. Banacha.

PODWÓJNE ZŁOTO

UW czwarty raz z rzędu zajął I miejsce w klasyfikacji generalnej Akademickich Mistrzostw Polski oraz wśród uniwersytetów.

Na Gali Sportu Akademickiego 19 października w Poznaniu ogłoszono wyniki podsumowujące wszystkie starty 189 szkół wyższych w AMP w sezonie 2011-2012. – Uczelnie klasyfikowane są w 40 dyscyplinach. Pod uwagę bierze się 30 najlepszych startów – tłumaczy Olaf Weker, wiceprezes ds. sportowych KU AZS UW.

Uniwersytet zdobył 1920,5 pkt i 30 tys. zł nagrody. Druga była Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie, a trzeci Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. – AZS może zapewnić Uniwersytetowi I miejsce w kolejnych latach – ocenia dyrektor KU AZS UW Włodzimierz Leśniewski. – Uczelnia jest przychylna sportowcom, ale jeśli nie stworzy jednolitego systemu promowania aktywnych studentów, to poziom sportowy może się pogorszyć. W ubiegłym roku UW miał 72 pkt przewagi nad drugą w zestawieniu uczelnią. W tym roku to już tylko 21 pkt.

UW znalazł się także na I miejscu wśród uniwersytetów. Tu sklasyfikowano 22 szkoły. Oprócz zestawienia tego typu uczelni, prowadzono też rankingi uczelni technicznych, społeczno-przyrodniczych, akademii wychowania fizycznego oraz uczelni medycznych, zawodowych i niepublicznych. Podczas gali oprócz nagród w klasyfikacji generalnej i typów uczelni przyznano też wyróżnienia uczelniom z zestawień: pucharowego i medalowego.

Mecz hokeja na Dynasach, drużyna AZS gra z drużyną Warszawskiego Towarzystwa łyżwiarskiego, lata 20. XX wieku.





ODESZLI

23 IX 2012	ELŻBIETA ORŁOWSKA	długoletnia pracownica Wydziału Chemii
10 X 2012	DR HAB. BOGDAN SIELIWANOWICZ	wieloletni pracownik Instytutu Biochemii
17 X 2012	DR JANUSZ WOJCIESZAK	zastępca dyrektora Instytutu Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich, zginął tragicznie
21 X 2012	LEK. MED. BARBARA ŚWIĄTCZAK-ZEGAROWICZ	wieloletnia nauczycielka w Studium Wychowania Fizycznego i Sportu
8 XI 2012	PROF. DR HAB. KAZIMIERZ WRZEŚNIEWSKI	emerytowany pracownik Wydziału Psychologii, specjalista w dziedzinie psychologii zdrowia
8 XI 2012	DR EWA SIKORA-WIŚNIEWSKA	długoletnia pracownica Wydziału Zarządzania

MARTA RAKOCZY

Słowo – działanie – kontekst.

O etnograficznej koncepcji języka Bronisława Malinowskiego

Seria: Communicare – historia i kultura

Książka poświęcona stworzonej przez polskiego badacza antropologicznej koncepcji języka oraz inspiracji, jaką może ona dziś wносить do badania kultury.

Koncentrując się na sprawczym wymiarze praktyk językowych, Malinowski zapoczątkował zorientowaną pragmatycznie i antropologicznie refleksję nad językiem. Autorka analizuje najważniejsze książki Malinowskiego, wydobywając z nich wszystko, co dotyczy relacji język – kultura – działanie oraz sytuuje Malinowskiego w polu współczesnej refleksji nad językiem i kulturą, pokazując jego nowatorstwo i intelektualną niezależność. Podkreśla dominujące znaczenie praktyki terenowej opartej na znajomości języków tubylczych. W sposób metodyczny wykorzystuje też dzienniki Malinowskiego, przypisując im funkcje tworzenia osobowości, a nie tylko funkcje dokumentacyjne, rejestracyjne.



ADAM FIJAŁKOWSKI

Tradycja i nowatorstwo w *Orbis sensualium pictus* Jana Amosa Komeńskiego

Rozprawa naukowa poświęcona dziełu klasyka myśli pedagogicznej Jana Amosa Komeńskiego (1592-1670) *Orbis sensualium pictus* (*Świat w obrazach*), uznawanemu za pierwowzór obecnych podręczników.

Podstawowe pytanie badawcze tej pracy brzmi: w jakim stopniu *Orbis pictus*, którego pierwsze wydanie ukazało się w Norymberdze w 1658 roku, było rzeczywiście innowacyjne w połowie XVII wieku, a w jakim wpisywało się we wcześniejszą tradycję podręcznikarską i pedagogiczną. Konsekwencją tego pytania jest kolejne: w jakim stopniu na treść i formę *Orbis pictus* wpłynął sam Komeński, a w jakim jego środowisko, lektury i doświadczenia dydaktyczne całego twórczego życia. W podręczniku tym znalazła między innymi zastosowanie zasada poglądowości w nauczaniu. Jego sukces był ogromny: miał do dziś ponad 200 wydań i przetłumaczono go na 20 języków. Cenili go zarówno wielcy tamtych czasów, jak i – co może w kontekście oddziaływania społecznego jeszcze ważniejsze – setki tysięcy pedagogów, nauczycieli, rodziców i dzieci, zwykłych ludzi. Już choćby z tego powodu *Orbis pictus* należy do najważniejszych źródeł w historii wychowania, a poświęcona mu monografia zasługuje na wnikliwą lekturę.



Redakcja naukowa RENATA E. HRYCIUK I ELŻBIETA KAROLCZUK

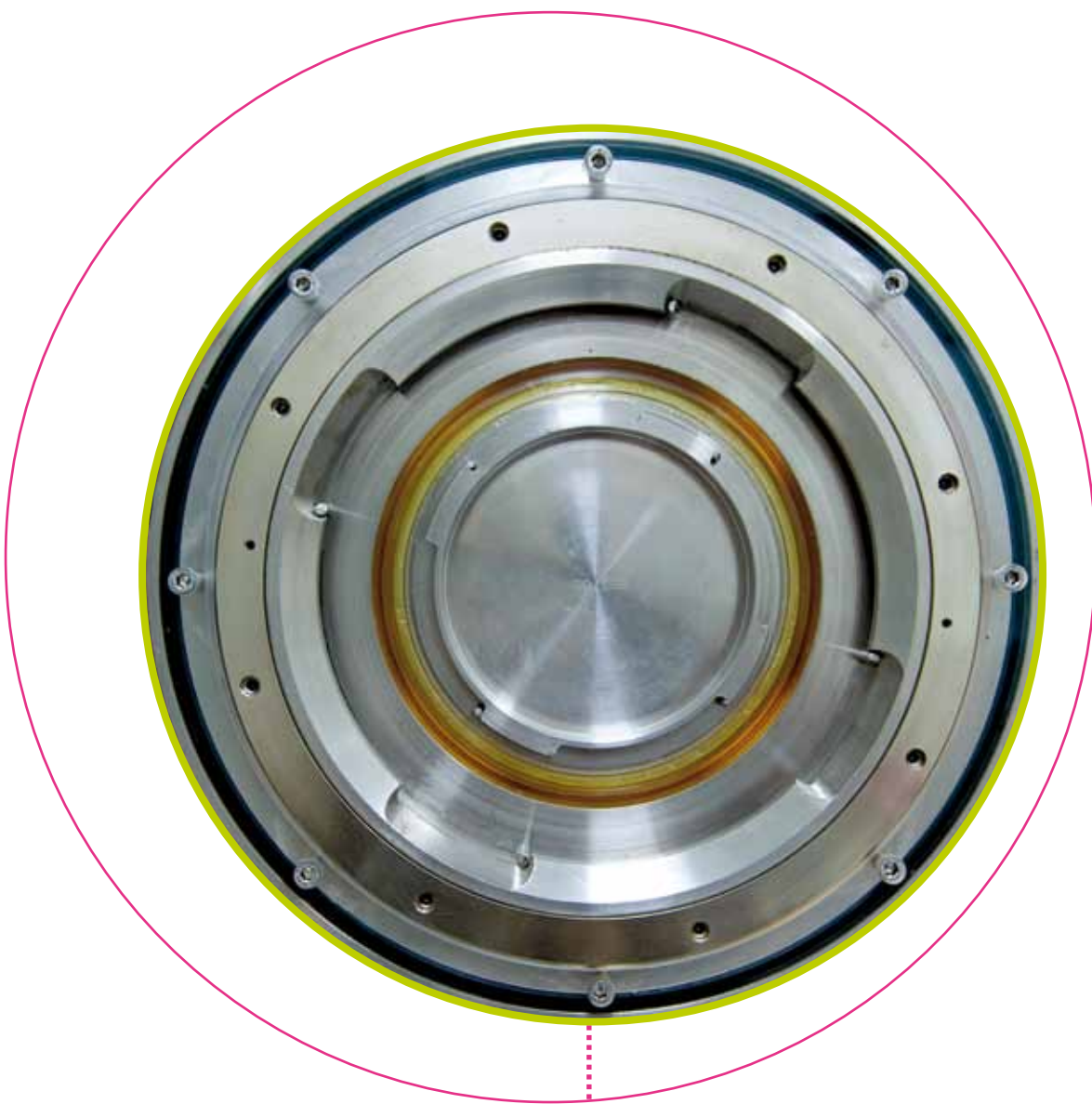
Pożegnanie z Matką Polką?

Dyskursy, praktyki i reprezentacje macierzyństwa we współczesnej Polsce

Jak w okresie transformacji ustrojowej i ekonomicznej zmieniał się w Polsce macierzyństwo? Jak ewoluowały wzorce, ideologie, postawy, reprezentacje, a także praktyki życiowe związane z rolą matki? Autorki książki odpowiadają na te pytania w sposób kompleksowy i wielowarstwowy, stawiając jednocześnie świetnie udokumentowaną, a przy tym prowokacyjną hipotezę: że mit Matki Polki w naszej kulturze się wyczerpał i pora się z nim ostatecznie pożegnać.

Tom *Pożegnanie z Matką Polką* to prawdziwa kopalnia *genderowej* wiedzy z różnych dyscyplin. Jest to swoisty manifest młodego pokolenia politycznie zaangażowanych badaczek tej problematyki. Pokazuje dobitnie, iż w polskim feminizmie akademickim następuje przesunięcie akcentów, a może nawet zmiana paradygmatu. Książka rzuca też istotne wyzwanie badaczom współczesnej polskiej kultury, a także twórcom i komentatorom polskiej polityki społecznej. Powinien ją przeczytać każdy, kto zastanawia się, dlaczego w ojczyźnie Matki Polki – kraju, którego obywatele i obywatelki od lat niezmiennie deklarują, że najważniejsza w ich życiu jest rodzina – rodzi się tak mało dzieci.





■ Od września działa spółka UWRC, dzięki której możliwa będzie sprzedaż radiofarmaceutyków produkowanych przez uniwersyteckich naukowców w Środowiskowym Laboratorium Ciężkich Jonów.

■ *fot. M. Kaźmierczak*

WIĘCEJ INFORMACJI NA STR. **12-13.**